

Księga szósta  
*1526-1543*

---

## W lipcowy wieczór

Pogoda była przepiękna, podróż z Bartoszyc do Fromborka stała się więc przyjemną wycieczką. Mikołaj siedział z Gizjuszem w jednym powozie, za nimi jechali Jan Ferber i Albert Biszof. Do Bartoszyc udali się przez Lidzbark, gdzie jeszcze odbyli dłuższą naradę z biskupem Maurycym Ferberem. Po uchwaleniu w Bartoszycach wspólnej z Prusami Książęcymi ordynacji krajowej, biskup ze swą świtą ruszył z powrotem prosto do Lidzbarka, kanonicy zaś udali się do Fromborka krótszą drogą przez Górowo.

Konie szły prędko wesoło parszcząc, a raz po raz radosne rżenie niesło się echem po lesie. Lipcowy ranek wstał ciepły i słoneczny, przydrożne wierzby i topole rzucały miły cień.

Kanonicy byli w świetnym nastroju. Między Warmią a księstwem Albrechta ustaliły się wreszcie pokojowe stosunki, układające się stopniowo od pamiętnego roku 1525. Podpisana wczorajszego dnia ordynacja była dalszym krokiem do stabilizacji tego korzystnego stanu rzeczy.

W tej sytuacji Kopernik z całym spokojem zajmował się w ostatnich czasach astronomią — prowadził obserwacje, czytał, umacniał się w swym przekonaniu o słuszności heliocentrycznego obrazu świata. Chętnie jeździł na narady poświęcone omawianiu systemu monetarnego, co do którego wszystko już narzeczcie zostało doprowadzone do końca. W marcu Mikołaj prowadził konferencje na ten temat z biskupem Maurycym w Lidzbarku, reprezentował Warmię na obradach przedstawicieli stanów w Elblągu, opracował ostateczną wersję traktatu pod tytu-

łem „Sposób bicia monety”. Potem pół kwietnia przesiedział w Lidzbarku ponownie na rozmowach z Ferberem. Wreszcie w maju, na zjeździe rady pruskiej w Malborku, reforma monetarna została uchwalona.

— Jak to dobrze, Tidemanie, żeśmy dożyli tych spokojnych czasów — westchnął Mikołaj. — Czy sądzisz, że ten stan utrzyma się dłużej?

— Mój drogi, w pokój zawsze trzeba wierzyć. A obecna sytuacja szczególną napawa ufnością. Najgroźniejszy do niedawna, najbliższy wilk chodzi z nami noga w nogę, jak widziałeś w Bartoszycach. Aż dziw, jakich cudów może dokonać w człowieku zdjęcie sukni zakonnej. A sprawy z luteranami na Warmii też już się jakoś ułożyły, wojna religijna ucichła wyraźnie. Pora więc tworzyć do końca i ogłaszać twoje dzieło światu. Czy to miałeś na myśli, Mikołaju?

— Może i to.

— Może? A co ciebie jeszcze gryzie?

— Daj spokój — prosił Mikołaj.

— Już daję i wracam do twego dzieła. Powiedziałeś mi kiedyś, że „Revoluciones” są już w połowie gotowe. A dzisiaj? Dlaczego nie kończysz? Dlaczego nie chcesz oddać rękopisu drukarzom? Wyczerpujący, udokumentowany wywód przekona wszystkich o słuszności twoich tez. A tak — przy całej twjej ogromnej sławie są ludzie, którzy wyśmiewają się z ciebie. Nawet Luter i Melanchton ośmielili się nazwać cię błaznem.

Mikołaj zachnął się:

— Nie dbam o takich, co mimo zupełnej nieznamomości nauk matematycznych roszczą sobie prawo do wypowiedzania o nich sądu, ośmielają się zaprzeczać mojej teorii i wyśmiewać ją na podstawie wykrętnie tłumaczonego miejsca w Piśmie Świętym.

— Dbać o nich nie musisz, ale przedstawić światu komplet dowodów, to co innego.

— Komu? Dyletantom? Matematykę zostawmy matematy-

kom. Czy nie widzisz, że czasy zmieniają się na gorsze i dziś już nie można tak śmiało wypowiadać się jak niegdyś? Nie zdajesz sobie zapewne sprawy z tego, jaką furię gniewu i nienawiści wywołałby ten upragniony przez ciebie pełny wywód. Daj więc pokój, nie psuj pięknej przejażdżki. Już lepiej...

Gizjusz popatrzył mu w oczy.

— Już lepiej pomówmy o tym innym, co cię gryzie? — podchwycił.

— Nic mnie nie gryzie — powiedział Kopernik. — Wiesz, że podczas ostatniej bytności w Toruniu spotkałem Macieja Szylinga. Pamiętasz, kto to jest.

— Tak, ten artysta z mennicy królewskiej.

— Otóż Maciej bawił w Toruniu z zamiarem przeniesienia się do mennicy, która tam na nowo ma zostać otwarta. Majowy sejmik w Malborku ustanowił tę jedną na obszarze Prus Królewskich. Kierownikiem jej został Decjusz, który jest spokrewniony z Szylingami. Zamierzał on uczynić Macieja kierownikiem technicznym mennicy, lecz wtedy jeszcze sprawy te nie były zdecydowane do końca.

— To obydwaj doświadczeni mincerzy. Gdyby razem ujęli mennicę w swe ręce, to monety toruńskie byłyby i dobre, i piękne. Ale dlaczego ta sprawa tak ci leży na sercu? Przecież okazało się, że nie na darmo pisałeś swoje dzieło ekonomiczne, nie na darmo jeździłeś na narady. A kto tam będzie w mennicy, to już w tym nie twoja głowa.

— Nie — przyznał Mikołaj i zamilkł.

— Więc co?

Dopiero po dłuższej chwili Gizjusz doczekał się właściwej odpowiedzi.

— Pomyśl, Tidemanie, przyjaźnimy się już sporo lat, a nigdy nie zwierzyłem ci się z tej sercowej sprawy.

— Sercowej?!

— Tak — powiedział Mikołaj.

— Widzisz, Maciej ma córkę, która urodziła się w dniu mego przyjazdu do Krakowa na studia. Miałem wtedy osiemnaście lat. Ja nadałem jej imię.

— Boże, ileż to lat temu!

— Dokładnie trzydzieści siedem minie w październiku. Tyle lat ją kocham.

Rozległ się śmiech i dopiero zapytanie: — Od urodzenia?

— Właściwie jeszcze dłużej. Kochałem matkę Anny, Martę. Matka zmarła, moja miłość przeszła na dziecko.

— Jak to pojąć... — Gizjusz w zamyśleniu kręcił głową. A ona — dodał nagle — też ciebie kocha?

— Mam w szkatułce cały stos jej listów, które o tym świadczą. Pragnie połączyć się ze mną, przyjechać do Fromborka i zostać.

— Mikołaju, zgorszenie by było. Czyż nie wiesz, co się dzieje z Aleksandrem Skultetem, który niewiastę w domu ma? Za heretyka uchodzi.

— Ferber niedługo już pożyje. Przeczuwam, że Dantyszek wbrew naszym życzeniom biskupem zostanie, nie ty. A on kochanek miał w życiu wiele, jeszcze teraz do swej córki w Hiszpanii śle prezenty. Będzie bardziej wyrozumiały. Szylingowie są moimi powinowatymi. Mieliśmy z Maciejem wspólną prababkę, Barbarę Szyling. W ten sposób Anna mogłaby mieszkać pod moim dachem pod pozorem prowadzenia gospodarstwa domowego. To by i nie był pozór jeno, ona opiekowałaby się mną rzeczywiście; przecież mam już pięćdziesiąt pięć lat i niedomagam czasem. Ech, zresztą po co ta mowa, nie wiadomo jeszcze, jak się wszystko ułoży. To tylko domysł, ponieważ z Torunia bliżej do Fromborka niż z Krakowa i Anna łatwiej zdecydowałaby się na opuszczenie ojca, on zaś z mniejszym bólem dałby jej błogosławieństwo na drogę.

Gizjusz szeptał tylko, jak człowiek zawiedziony: — Mikołaju, Mikołaju...

Po południu pozostał już krótszy odcinek drogi do pokonania. Na krótko tylko zatrzymali się u burmistrza w Braniewie i jeszcze przed zachodem słońca zbliżali się do Fromborka.

Dopiero opodal miasteczka otworzył się ze wzgórza widok na falujące w dole morze, zakreślone na horyzoncie szarą kreską mierzei. Rybackie kutry wracały do przystani kołysząc się nierytmicznie i zataczając zygzaki. Na brzegu widać było oczekujące rybaków rodziny. Matki wysoko podnosiły dzieci, które trzepotały wzniesionymi w górę rączkami.

Ten widok wzruszył Mikołaja. Och, mieć kogoś, kto z drżącym sercem oczekuje powrotu, do kogo tęskni się poza domem, do kogo wraca się, jak do przystani. Jego nikt nigdy nie oczekuje. Co to za przystań, w której czuwają tylko słudzy.

Rzeczywiście, Hieronim wyszedł na jego spotkanie aż na ulicę miasteczka, a zoczywszy pana, rzucił się pędem do powozu i wskoczył na stopień. Mikołaj położył dłoń na czuprynie zdyszanego młodzieńca i dobrotliwie wyrzekł:

— No i co, chłopcze?

— Pani przyjechała do waszej miłości.

— Jaka pani? — struchlał Kopernik, serce waliło mu mocno.

— Jaka pani? — powtórzył i tylko dodał: — Skąd?

— Aże z Torunia, a może nie z Torunia, jeno ze stolicy samej, od jaśnie pana króla?

Kopernik kazał podciąć konia. Podskoczył wóz po wyboistej drodze, prowadzącej na katedralne wzgórze. W każdym listku mijanych drzew i krzewów, w każdej cząstce powietrza było jej imię. Było imieniem miasta, wzgórza, morza szumiącego za plecami, gwiazdy wschodzącej już przed zachodem słońca.

Wojciechowa Jagna witała Mikołaja u wejścia do wieży mieszkalnej głębokim pokłonem, wypatrując męża, który z Kopernikiem wrócić miał z podróży. Przerażony nagłą zmianą jaka zaszła w przyjacielu, Gizjusz zęgnął się z nim milcząco i Mikołaja krótki jedynie ból przeszył na myśl, że go tak odprawia.

Wiedział, w której izbie zastanie gościa. Gdy do niej wchodził, ozwał się dzwonek na Anioł Pański. To był pomyślny znak. Ukazała się jej twarz — ta zatarta rozłąką, a niezmieniona, stale ta sama, niezapomniana przecież, ta witająca dotychczas codziennie z portretu, lecz teraz żywa, najpiękniejsza na świecie, najdroższa twarz Anny...

Objęli się i przyłgnęli do siebie, i teraz czuł w całym ciele jej obecność, chłonał ciepłość i jedwabistość jej policzka. Nie przemówili ani słowa, nie odrywali się od siebie, trwając w objęciu nawet wtedy, gdy było słyhać stukot otwieranych i zamykanych przez Wojciecha drzwi. Dopiero po całej szczęśliwej wieczności usłyszał szept Anny:

— Zatrzymaj mnie tutaj, Mikołaju, zatrzymaj mnie tu na zawsze. — Zwarli się jeszcze mocniej. Powiedział:

— Błagam cię, Anno, zostań tu na zawsze, nie opuszczaj mnie, bądź tu w tym północnym kraju, przy zachodzie mego życia, wschodem i południem.

Dopiero wtedy odchyłili się od siebie. Dopiero teraz chłoneńi wzrokiem swe oblicza. I znowu ogromna wieczność minęła, nim siedli przy stole i Hieronim zaczął wnosić kolację.

Gdy wszystko stało gotowe, Mikołaj napełnił kielichy winem i rzekł:

— Spożywaliśmy dotychczas sakrament Ostatniej Wieczerzy, a oto Bóg przez nas ustanawia sakrament Pierwszej Wieczerzy. Jest to moja pierwsza szczęśliwa wieczerza, nasza wspólna, w naszym wspólnym domu.

Anna podniosła nań radosną, szczęśliwą twarz. Po jej policzkach spływały łzy.

---

## Dni szczęścia

I znów droga twarz Bernarda, którą można oglądać każdego dnia przez wiele godzin, bo nawet na obowiązujące kanoników nabożeństwa uczęszczają razem. Zamieszkali we dwóch w jednej izbie, w wieży, która służyła Kopernikowi jako pracownia i miejsce wypoczynku po obserwacjach. Teraz w niej razem pracowali i spędzali cały dzień, nawet na drzemkę poobiednią się kładąc. Bernard wyłuskał się z łoża i przyszedł obudzić Mikołaja. Zgodnie z rozkazami Anny trzeba teraz prowadzić życie regularne, usystematyzowane od rana do wieczora, przestrzegając tego wszystkiego, co podobno pomaga w utrzymaniu zdrowia.

— Wstawaj, wstawaj, staruszkule — żartował Bernard. — Kto ma sześćdziesiąt dwa lata, otrzymał już od Boga parę lat nadterminowego życia. Żyć to znaczy pracować, leżeć to znaczy nie żyć. Nie takie twoje zasady?

— Słusznie. Ale kto chce mieć kobietę, musi przyjąć i to wszystko, co z nią przychodzi. Widzisz, ostatnie lata swego życia prawdopodobnie w połowie jeno panu Bogu zawdzięczam, zaś w drugiej połowie Annie. Jak tak dalej pójdzie, to będę żył dłużej niż sto lat. A chce się żyć, gdy wreszcie doczekał się człowiek spełnienia tęsknot całego życia. No, ale my gadu-gadu, a tu wkrótce wskoczy wilk, o którym mowa. — Kopernik dziarsko podniósł się z łoża.

— Wyskoczyłeś z łóżka jak kometa, coś o niej z Mikołajem z Szadka listy wymieniał — śmiał się donośnie Bernard.

Siedzieli już przy stole zawalonym papierami, układając je



w oczekiwaniu Anny. Gdy przyniesie przepisane materiały, robotę można będzie szybko poprowadzić do końca. Bernard przekonał Kopernika, by korzystając z posiadanych materiałów ułożył „Almanach z najbardziej rzeczywistymi i wyjaśnionymi ruchami planet, obliczony z nowych tablic”. Nie mogąc nakłonić go do ukończenia i wydania drukiem dzieła o obrotach sfer niebieskich, wymógł na początek choć tyle celem opublikowania. Nawiązując do tego mówił teraz:

— Ponieważ uchylasz się od sławy i nieśmiertelności, to chociaż tę cząstkę sławy ci dodam, żeby nie zaczęła w ogóle wygasać. Nie żyje już jego świątobliwość ojciec święty Klemens VII, któremu Jan Albert Widmanstadt twoją teorię objaśniał. Trzeba teraz nowemu papieżowi zwrócić uwagę na twoją wielkość.

— No, no, tylko przestań z tą wielkością — skrzywił się Mikołaj. — Porównujesz mnie raz do komety innym razem do zwierzęcia...

Bernard tego dnia był wyjątkowo rozmowny i pogodny, tak podziałała nań atmosfera radości, serdeczności panująca we fromborskiej wieży od czasu przybycia Anny.

— Tymczasem komety ludzkie latają po ziemi, spadając we Fromborku i w okolicznych diecezjach. Ot, choćby Dantyszek. Spadł na Lubawę, a ty sobie wróżysz, że ku twemu niezczęściu wyląduje jeszcze w Lidzbarku.

— Maurycy Ferber, ojciec nasz, słabuje. Badam go za każdym jego pobytem we Fromborku, a czasem i do Lidzbarka mnie wzywa, gdy choroba do łoża przykuje. Ot, w lutym około godziny wieczornego completorium przyszedł nań atak, który na jakiś czas pozbawił go mowy.

— Ale Dantyszek... Miałeś mi kiedyś opowiedzieć, jak to się stało, że pogorszyły się stosunki między wami. Byliście przecież swego czasu bardzo zaprzyjaźnieni.

— Otóż przed trzema laty, z powodu złego stanu zdrowia

naszego ojca biskupa, zaczęto myśleć o dodaniu mu koadiutora. Rezydujący kanonicy zgodnie z jego życzeniem wybrali Tidemana Gizjusza. Ale król Zygmunt sprzeciwił się temu i wysunął kontrkandydaturę Dantyszka. Jak się jednak domyślasz, żadna ze stron nie mogła pogodzić się z propozycją drugiej, bo każda rezygnować by musiała ze swych przywilejów. Kapituła miała prawo wybierać następcę z czterech kandydatów królewskich, a nie z jednego. Król zaś tych czterech miał proponować spośród wszystkich kanoników. W tej sytuacji zaniechano koadiutorii dla Ferbera. A trzeba ci wiedzieć to, co wie Dantyszek, że ja obstawałem za moim przyjacielem Tidemanem, występując przeciw Dantyszkowi pospołu z Aleksandrem Skultetem. Doszło aż do tego, że król przysłał listy, żądające poskromienia Skulteta. Dantyszek nienawidzi go, mnie zaś próbuje sobie zjednać. Gdy w następnym roku został biskupem chełmińskim, przysłał mi zaproszenie do Lubawy na swój ingres. Wykręciłem się od tego, nie pojechałem. Nie wiem, co sobie o tym myśli, ale zadowolony z odmowy nie jest. I tak to się, widzisz, między nami ułożyło. Nie jesteśmy wrogami, bo ja przecież miałem prawo i obowiązek poprzeć najlepszego przyjaciela, a on nie może mieć o to do mnie pretensji. Ale też nie jesteśmy już w takiej przyjaźni, w jakiej kiedyś byliśmy. No, ale właśnie idzie ów wilk, o którym przed paru minutami była mowa.

W szparze rozchylonych drzwi zobaczył Mikołaj Annę z wielkim koszem ogromnych, dorodnych jabłek, czerwieniących się w słońcu. W drugiej ręce niosła rulon papierów. Była nadal piękna, szła z wdziękiem, kołysząc się. Przechylała się nieco na bok pod ciężarem kosza.

Gdy weszła, powstałi obaj na powitanie, równocześnie odbierając kosz z jej rąk.

— Częstujcie się, proszę, zaraz, nie przyniosłam owocu po to, by stał, musicie jeść natychmiast.

Dziękowali, wyciągali ręce po jabłka, chwalili je.

Tymczasem Anna nie przestawała mówić:

— Wymęczyłam wam te obrzydliwe tablice, przepisałam wszystko co do joty i sprawdziłam nawet po przepisaniu. Mam nadzieję, że to się nareszcie skończy i ty, Bernardzie, nie będziesz nadal wymuszał na Mikołaju dalszych świadczeń? Ja wolę, gdy on obserwuje i obserwacje opracowuje, a potem wnosi ich wyniki do swego dzieła. A w ogóle nie ma dla mnie nic gorszego niż tabele i matematyka, choć Mikołaj twierdzi, że właśnie do matematyki wszystko się sprowadza. Ja wolę jednak już gotowe wnioski wyciągnięte z tego matematycznego kołowrotka.

— To zgodne z charakterem białogłowy — potwierdził Bernard. — Nie dziwię się. I zapewniam cię zaraz, Anno, że dziś, jutro praca nad almanachem zostanie zakończona. A dla ciebie nie ma już od tej chwili żadnego zadania, to było ostatnie.

— Chwała Bogu — westchnęła śmiejąc się. Było przy tym widać jej białe, równe zęby między mocnymi, czerwonymi wargami.

Mikołaj z rozweseloną miną patrzył na nią i myślał o tych wargach, zanurzając zęby w jabłku. Bernard spojrział na niego i rzekł po chwili:

— Ty zresztą nigdy nie potrzebujesz czynić niczego, sama obecność twa, Anno, wystarcza, by Mikołaj pracował za dwóch albo i za trzech, a umysł jego stawał się umysłem młodzieńca i zarazem mędrca.

— Czyżby, Mikołaju?

Podeszła do niego, ujęła jego dłoń. Podniósł jej ręce i przyłożył do swego policzka. Myślał przez chwilę, nim odpowiedział:

— Ty zawsze byłaś moim natchnieniem. I teraz, w czas spełnienia, i dawniej, w czas tęsknoty. Samo uczucie skłania czło-

wieka do twórczości. Może zresztą każde uczucie, nie tylko do białogłowy? Człowiek tworzy pod działaniem miłości i nienawiści, zwycięstwa i klęski, radości i rozpacz. Człowiek beznamiętny nie może stworzyć niczego.

— A pod działaniem jakiej namiętności stwarzał Bóg?

— Teologowie nie wnikają w to.

— Wprost przeciwnie — wtrącił Bernard. — Widać, Mikołaju, żeś w teologii niedokształcony. Bóg stworzył świat i człowieka, kierując się miłością.

— A więc kochając, naśladujemy go — zawołała Anna.

— Oczywiście. To jest największe, najpiękniejsze i najszlachetniejsze z uczuć. Z niego przecież i potomstwo ludzkie przychodzi na świat.

— Oj, mości kanoniku! — Anna groziła Wapowskiemu palcem. — Doprowadzasz mnie do rumieńców, które niewieściej twarzy wdzięk odbierają. Już lepiej tablice gwiazd wykładaj na stół, żeby swojego austriackiego mecenasa zadowolić, jeżeli w ogóle mu na nich zależy.

— Zygmunt von Herberstein wyda almanach w Wiedniu — zapewnił Bernard, lecz zaraz dodał: — Napracowaliśmy się dziś wszyscy pod dostatkiem i winniśmy chyba raczej wyjść na spacer, a do dalszej roboty siądziemy już z Mikołajem sami, lecz dopiero po zachodzie słońca, gdy upał zelżeje.

— Idźmy zatem bezzwłocznie, nim tu ktoś Mikołaja urzędowymi sprawami nękać zacznie — powiedziała Anna — ale i na spacerze unikajmy ludzi, bo go zaraz do chorych będą wzywali. Nie ma biedak nigdy spokoju.

Wymknęli się wiadomymi tylko Annie ścieżkami, omijając ludzkie domostwa. Mimo to dogonił ich Gizjusz, zadyszany, ale pełen radości. Tłumaczył się nerwowo:

— Muszę ci, Mikołaju, przekazać pewną wiadomość. Nic to co prawda ważnego, lecz może cię ucieszy. Rozmawialiśmy dziś ot tak sobie, w gronie konfratrów. Wiesz, jak to jest, rezyden-

tów nie ma zbyt wielu, a obowiązki w kapitule trzeba porozdzielać. A przecie zbliża się święty Marcin, czas dzielenia zadań. Wypada, że musisz nadal pozostać wizytatorem kapituły. Ostatecznie robota to nie najcięższa. Ale, jak ci się podoba to, że jako warunek postawiłem, aby być wizytatorem razem z tobą?

— Dziękuję ci.

— Pomyślałem o tym, że będziemy razem wyjeżdżali na wizytacje. A gdy zajdzie potrzeba, to ja więcej pracy przyjmę na siebie.

— Bardzo ci dziękuję, kochany.

— Tidemanie, jesteś najwierniejszym przyjacielem na świecie — powiedziała Anna. — Czy tylko twój projekt zostanie przyjęty przez kapitułę?

— Bez wątpienia — oświadczył Gizjusz, jakby urażony jej wątpliwościami.

— Czyż nie wiesz, jakim autorytetem cieszy się Tideman w kapitule? — zbeształ ją Mikołaj.

Szli samym brzegiem Zalewu Wiślanego. Kopernik spojrział na rozbujałą, zieleniejącą toń morską, potem dalej — ku polom i lasom, wreszcie przystanął i zaczął przyglądać się wieżom wzgórza Najświętszej Panny Marii. Powiedział:

— Zapomnijmy o tych wszystkich codziennych sprawach. Wielkość Boga, którego każecie każdego dnia chwalić, jest w pięknie tego świata: Ziemi, planet, całej machiny wszechświata, której urządzenie jest arcymądre. Spójrzcie na morze, jak chwali Stwórcę swą mową piękniejszą może od naszej, ludzkiej.

Zatrzymali się wszyscy posłusznie i spojrzeli na mieniającą się słonecznymi refleksami powierzchnię Zalewu. Ale zaraz usłyszeli za sobą tupot nóg po ubitym piasku.

— Nie ma dla ciebie schronienia, Mikołaju — szepnęła Gizjusz.

Zza nadbrzeżnych krzewów wyłoniła się mizerna postać. Ko-

bieta w średnim wieku, brzydka, wyniszczona nędzą, przypadła do nóg Kopernikowi i bełkotała błagalnie:

— Świętobliwości wasza! Wypatrywałam z chałupy, bo nie ważyłabym się przyjść do pałacu wielmożności. Mój stary całym dychać ustaje. Ujrzałam waszą wielbność nareszcie, cud się stał, że waszej wielbności do nóg mogę upaść i błagać o pomoc.

Mikołaj odsuwał się, by nie całowała jego sukni.

— Wstań, niewiasto — powiedziała Anna i zwróciła się do Mikołaja: — Wiem, że pójdziesz, Mikołaju, ja będę ci towarzyszyła. Nie chciałabym, by ona go straciła. Przeżyłabym to tak, jak utratę ciebie.

---

## Marna służba

Czas był na tyle spokojny, że Mikołaj mógł zagłębić się w ulubionych lekturach. Za dziełami teologicznymi co prawda nie przepadał, lecz zaglądał czasem i do nich. Dzieło pod tytułem „O królestwie Chrystusa” czytał po raz drugi jedynie dlatego, że napisał je niedawno Tideman Gizjusz. Odkąd przed dwoma miesiącami najlepszy z fromborskich przyjaciół przeniósł się na dobre do Lubawy, Mikołaj chętnie sięgał po wszystko to, co mu go przypominało. Długo trwało, nim Dantyszek osiadł na dobre w Lidzbarku, a chełmiński stolec biskupi w Lubawie zajął po nim Tideman. Poszło to wszystko polubownie i zgodnie. Dantyszek otrzymał głosy wszystkich obecnych we Fromborku kanoników.

Zza okna dochodziło pluskanie padającego deszczu. Paskudna plucha kwietniowa! Jak tu po tych rozmokłych drogach kołatać się do Lidzbarka, by nieść pomoc lekarską nowemu panu warmińskiemu?

Jechać jednak trzeba. Dwa razy Mikołaj odmownie odpowiadał Dantyszkowi na zaproszenie do Lubawy. Trzeba wreszcie doprowadzić do pojednania z biskupem. Przebrnie jakoś tę drogę, podróżował w gorszych warunkach, nie miał wtedy, co prawda, sześćdziesięciu pięciu lat.

Nawet nie słyszał kroków po schodach ni trzaśnięcia drzwiami, tak zatopił się z powrotem w dziele Tidemana. Dopiero gdy Anna stanęła w drzwiach, uwierzył, że to ona jest przy nim. Zdejmowała z głowy chustkę, ściągała barani kozuch ociekający wodą i wieszała go przy kominku.

- Jak mogłaś, w taką pluchę...
- Mogę wrócić, jeżeli ci wadzę.
- Ależ Anno...
- Och, Mikołaju, nie znasz się na żartach?

Już stała przed nim, już obiema rękami gładziła jego policzki. Czuł się taki szczęśliwy.

— Powiedział mi Hieronim, że dostałeś list od jego ekscelencji z Lidzbarka. Ciekawam, jakie wieści. Powiesz mi?

Wskazał ręką na leżące na stole papiery: — Znajdziesz tam list.

Spoglądał na nią, jak szła do stołu, jak zgrabnymi ruchami przekładała arkusze i książki.

Potem usiedli razem przy kominku; palące się polana trzaskały wesoło, zagłuszając szum deszczu. Siedzieli tak w milczeniu. Dopiero po długim czasie Mikołaj wyszeptał:

— Tak nam dobrze, tak dobrze. Oby nam nic nie zakłóciło spokoju. Tylko wiesz, kochana, żal mi Macieja, że cię stracił. Może byś wybrała się do niego na ten czas, gdy ja będę w Lidzbarku? Przywiozłabyś może jego nowe monety z gdańskiej mennicy. Mamy cały komplet z Krakowa i Torunia, chciałbym mieć i te z nowego miejsca jego pracy.

Anna spojrzała uważnie na Mikołaja.

— Pojechać — zastanowiła się. — A kiedy ty chcesz wyruszyć do Lidzbarka?

— Nie mogę zwlekać. Do chorego trzeba śpieszyć natychmiast. Wydałem już polecenie Hieronimowi, by przygotował wszystko na jutro.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Anna powiedziała:

— Dobrze, pojedę na ten czas. Gdy pomagałam ojcu w przeprowadzce z Torunia do Gdańska, był ogromnie wzruszony i uradowany. Warto sprawić mu jeszcze jedną radość. Wyruszę pojutrze, jutrzejszy dzień poświęcę na przygotowania do po-



dróży. — Zawahała się na moment, po czym dodała: — Prałat Płotowski pozbędzie się znów na pewien czas mego widoku. Nie może na mnie patrzeć.

— Albo może — zaśmiał się Mikołaj — pragnie patrzeć na ciebie, lecz trapi go świadomość, że jesteś przy mnie, a nie przy nim.

— Nie żartuj. Boję się czasem, że podburzy Dantyszka przeciwko mnie, tak jak knuje przeciwko białogłowie mieszkającej z Aleksandrem Skultetem.

— Na szczęście Dantyszek miał więcej miłośnic niż wszyscy kanonicy fromborscy razem wzięci.

Roześmiali się teraz oboje, choć w oczach Anny pozostał niepokój. Powiedziała:

— Nie było ci tak wesoło, gdyś Maurycemu Ferberowi w Lidzbarku zamykał oczy i sporządzał inwentarz śmiertelny po nim, a przez cały czas myślał o jego następcy. I choć głosowałeś za Dantyszkiem, jako nowym biskupem, wolałbyś przeciwieź głosować za Tidemanem. I na pewno tak bardzo nie wierzysz we wspaniałomyślność lidzbarskiego pana. Ludzie zmieniają się. Nie mam ja do niego zaufania.

— Nieodgadniona jest dusza człowiecza — westchnął Mikołaj. — Nieodgadniona. Bardziej tajemna niż owe planety i gwiazdy, z których i ty, Anno, nauczyłaś się czytać. Pomniesz, jakeśmy ubiegłej jesieni razem obserwacje czynili? Moc ich była. Wenus, Saturn, Mars, Jowisz. Koniunkcja Wenus z Saturnem, a jeszcze zimą koniunkcja Saturna z Księżycem. Polubiłaś astronomię, Anno, choć z matematyki przyjaciółki sobie nie uczyniłaś.

— Nie szkodzi — szepnęła, ogarniając go ramieniem. — Ja tylko twoja pomocnica. Tyś moje słońce, ja krążę wokół ciebie. Pomyśl, Mikołaju, jakie nasze życie stało się piękne.

— Piękne — powtórzył Mikołaj jak echo.

Polana na kominku dogasały znów, więc Anna dorzuciła dre-

wien do tłącego się jeszcze żaru. Mikołaj tymczasem poszedł ku półkom z książkami i z jednej z nich dobył zwitek wierszy.

— Nie ufasz Dantyszkowi, Anno. A czy wiesz, że i on miewał chwile goryczy, zawodu i niepewności jutra? Przypomniał mi się jeden z jego wierszy, wiersz pełen pesymizmu i nieufności do ludzi, od których człowiek popada w zależność.

— Czytaj, proszę — przyzwoliła bez przekonania.

Czytał zmęczonym, matowym głosem:

### M a r n a s ł u ż b a

Kto dziecku, kto starcowi, kto niewieście służy,

Rzadko kiedy nagrodę dla siebie wywróży.

Nie służ dziecku, bo w rannej wypieszczone wiosnie,

Zapomni twoich zasług, gdy w lata urośnie.

Zasię starca wiek krótki we chciwości wędnie:

Tylko próżne nadzieje dawa nieoszczędnie.

A potężna niewiasta za gorliwe chęci,

Lada czym rozdrażniona, ma zemstę w pamięci.

Nie idź w starca, niewiasty i dziecka rozkazy:

A jeśliś niezależny, szczęśliwy sto razy! \*

Ogień strzelał na kominku, iskry z niego skakały prawie aż do ich stóp. Przez dłuższy czas siedzieli, rozważając treść utworu. Potem Anna wstała, zbliżyła się do Mikołaja, położyła rękę na jego barku i powiedziała:

— Chciałeś mnie uspokoić tym wierszem?

— Może i tak.

— Toś trafił źle, Mikołaju. Zasiałeś w mym sercu tym większy niepokój. Dantyszek wydaje mi się właśnie tym starcem, któremu ufać nie można.

— Jest przecież o dwanaście lat młodszy ode mnie.

— Nie szkodzi. Ty masz duszę młodzieńca, on już ma duszę starca. Przeżył swoje życie przedwcześnie.

---

## Rozłaka

Już po kilku miesiącach okazało się, jak bardzo słuszne były przeczucia Anny.

— Nie ma jej, nie ma jej w moim domu i nie będzie — mówił Kopernik do siebie samego głośno, z trudem pokonując stok wzgórza katedralnego. — Przeklęty, gdański pomiot, wychodowany na biskupa przez dwór polskich królów. Świątoszek! Obludnik! Starzec przedwczesny!

Szedł od Anny, która mieszkała już w mieście, i którą co kilka dni odwiedzał. Powiedziała, że pozostanie w miasteczku, choćby wszyscy dookoła pluć na nią mieli.

Szedł pod górę po rozmokłej drodze. Cały świat pograżony był w szarudze, znikły kontury murów. W mgłę i dżdżu majaczyły drzewa i budynki. Wieże katedry były zupełnie niewidoczne. Tylko morze pozostało wierne, kołysało myśli monotnym szumem.

— Przeklęty Dantiscus! Ten, który uwiódł setki kobiet. Mówią, że gdy uwodził, to sakry nie nosił, a włożywszy ją, ustatkował się. Ale jeszcze teraz ze swoich biskupich dochodów posyła hojne dary do Hiszpanii, swej dawnej kochance Izabeli del Galdzie i swej córce Joanicie.

Mikołaj wspomniał koniec lata ubiegłego roku, gdy razem z Feliksem Reichem towarzyszył nowemu panu i biskupowi w objeździe posiadłości. Była to triumfalna podróż, podczas której Dantyszek promieniał radością i przyjaźnią, zdawałoby się dozgonną. W Lidzbarku, Reszlu, Jezioranach, Dobrym Mieście, Ornecie, Braniewie — wszędzie poddani komornictw bi-

skupich składali przysięgę wierności na ręce nowego władcy. Ten darzył wszystkich łaskami, hojnie udzielał ojcowskiego błogosławieństwa. Łaskawy był także dla Mikołaja.

Co stało się z nim tak nagle? Może poczuł się skrzywdzony tym, że sakra biskupia odebrała mu swobodę życia.

Wszedłszy do domu — cały mokry, ociekający deszczem — rzucił Hieronimowi opończę i skierował się prosto ku półkom z książkami. Jakże potwornie śmiesznie brzmiało groźne, karzące moralizowanie biskupa przy takim oto wierszu, napisanym pod wpływem jego tęsknoty za kochanką Grineą, z którą los kazał mu rozstać się:

Och, wyrwać się z jej ramion, tych liliowych oków,  
Rzucić tyle całunków, igraszek, uroków!  
Czy podobna bez bólu, komuś, co ma duszę,  
Pisać się dobrowolnie na takie katusze?

O, ludzka przewrotności! Ten, który w miłosnym uniesieniu pisał te słowa, żąda teraz od przyjaciela porzucenia kobiety, poza którą nie ma życia.

Mikołaj zawołał Hieronima i polecił mu sprowadzić Rafała Konopackiego. Krewniaka swego osadził Kopernik w kapitule na miejsce zmarłego Feliksa Reicha. Dantyszek zgodził się na Rafała wbrew knowaniom prepozyta Płotowskiego, który stał się zausznikiem biskupa i donosił mu o wszystkim, co działo się we Fromborku, najgorliwiej zaś o białogłowych mieszkających u Aleksandra Skulteta i Mikołaja Kopernika.

Kopernik był właśnie ciekaw, co wydarzyło się wewnątrz murów kapitulnych podczas jego nieobecności, czy przede wszystkim nagabywał ktoś dopiero co przybyłego do Fromborka nowego kanonika.

Rafał Konopacki ze swadą zaczął opowiadać o udziale w nabożeństwach, o załatwieniu wstępnych formalności, o zagospodarowywaniu swego domu. Mikołaj wreszcie przerwał mu:

— Masz mi tu powiedzieć, czy cię kto wypytywał o mnie, o naszą wspólną rodzinę, o stosunki między nami, o...

Urwał. Wiedział, że będzie musiał tak czy owak powiedzieć mu wszystko o Annie. Lecz mu w tej chwili zbrakło sił na zwierzenia.

— A, nie bardzo, raczej nie — tłumaczył się Rafał — chyba że wuja interesuje moja rozmowa z wielbnyim prepozytem Płotowskim.

Kopernik drgnął.

— Właśnie o niego chodzi. Właśnie tego człowieka się wystrzegaj.

— Dlaczego?

Trzeba było dobrze zebrać się w sobie, żeby wyznać mu wszystko. Ale lepiej było powiedzieć mu samemu. Ludzie usłudni a źli czekali tylko na okazję do rozdmuchiwania sensacyjek.

— To zły człowiek, fałszywy. W oczy taki, za plecami inny. Stał się biskupim zausznikiem i donosi mu o wszystkim, co trzeba i co nie trzeba. A Dantyszek człowiek niezrównoważony. Niegdyś był mi przyjacielem, jeszcze przed ostatnią jesienią objechaliśmy w przyjaźni całą niemal diecezję, choć miał do mnie żal, że nie odwiedzałem go swego czasu w Lubawie, gdy był biskupem chełmińskim. Potem uderzył mnie w najczulsze miejsce, podbechtany przez Płotowskiego. A teraz znowu bez namysłu przystał na twoje miejsce do kapituły. Bóg wie, dlaczego. Bo to wcale nie zmienia jego nieludzkiego stosunku do sprawy najważniejszej. Nie wiem, może to mu pozostało jeszcze z czasów, gdy stawałem mu na drodze do warmińskiego stolca biskupiego.

Mikołaj zakrył twarz rękami. Jak mógł opowiedzieć Rafałowi o Annie? Jak mógł? Ale jak mogli ci straszni ludzie z najintymniejszej jego sprawy, z treści całego jego życia uczynić rzecz publiczną, roznosić ją jak jarmarczną opowieść?

Długo opowiadał mu Mikołaj dzieje swej miłości, opisał dziesiątki lat trwającą tęsknotę i tych lat parę szczęśliwego spokoju.

— I oni to zniszczyli? — zapytał Rafał ze zgrozą. — Jak mogli?

— Jak mogli — powtórzył Kopernik. — Jak mogli porównać moją miłość i miłość Aleksandra Skulteta do erotycznych wybryków kanoników ze zwykłymi babami, pełniącymi obowiązki gospodyń. Dawny hulaka, dziś jego ekscelencja, zapragnął nagle oczyścić to Gynopolis, lecz wbrew całej słuszności zamierzenia zaczął wypędzać najzacniejsze białogłowy będące moralnymi podporami swych mężczyzn.

— Dlaczego? Dlaczego to uczynił?

— Bośmy śmieli swego czasu sprzeciwiać się jego dążeniom. A Skultet głosi w dodatku poglądy Lutra, tego Lutra, którego Dantyszek swego czasu uwielbiał, a nawet odwiedzał w Norymberdze. Bo pan nasz i za luteranizm wziął się teraz mocną ręką. I być może, miałbym zapewniony spokój, gdybym nie przyjaźnił się z Aleksandrem. Gdyby nie ta przyjaźń, może pan nasz zostawiłby Annę w spokoju, a cały gniew wyładował na Aleksandrze i Suchtenównie. Czy jednak mam wypierać się przyjaźni? Rzucać przyjaciela w potrzebie, w potrzebie takiej samej jak moja?

— Cóż ów Skultet?

— Skultet ma w domu Suchtenównę, którą przed ołtarz poprowadzić chce już nie z powodu luterskich przekonań, lecz po prostu dlatego, że podobnie jak i ja wyższych święceń kapłańskich nie przyjął. Suchtenówna dziecko mu powiła, ale przecież i Dantyszek ma córkę i wuj mój Łukasz Waczenrode syna miał. To wszystko ludzkie sprawy. Skąd więc to nagłe zgorzsenie? Pomyśl, zakończywszy wspólne ze mną wesołe podróże jedzie nasz pan do Lidzbarka i po niedługim czasie przysyła mi list żądający oddalenia Anny. Początkowo nie

wziąłem tego poważnie. Ale Płotowski jeździł dalej z donosami. Judził, jak tylko on to potrafi. Przyszły więc dalsze ataki na mnie i bezpośrednio i za pośrednictwem mego przyjaciela, biskupa chełmińskiego, Tidemana Gizjusza. Anna musiała więc odejść z mego domu, mieszka w mieście, lecz widujemy się nadal. Właśnie od niej wróciwszy posłałem po ciebie, żeby cię ostrzec przed intrygami.

— Będę uważał — powiedział Konopacki. — Pan prepozyt rzeczywiście podpytuje...

— No tak, Płotowski intryguje w dalszym ciągu. Ze szczególnym zaciekrzewieniem atakuje Aleksandra. Dantyszek wydał przed kilku dniami list pasterski przeciw kacerstwu, a podczas rewizji u Skulteta znaleziono luterańskie książki. Aleksander broni się, ma poparcie w Rzymie, ale Rzym daleko. Gdy wyjeżdża, Płotowski każe plądrować jego dom. Suchtenówna zamyka się teraz tak, żeby nikt nie mógł się dostać.

— Ohydne.

— Ohydne — powtórzył Mikołaj. — A jak nazwiesz wywierany na mnie nacisk, by Anna zupełnie wyjechała z Fromborka?

— Nie do wiary.

— Jej ojciec, Maciej Szyling, pracuje teraz w mennicy gdańskiej. Podróż jest bliska, tym większe więc istnieje niebezpieczeństwo, że pewnego dnia Anna nie wytrzyma, spakuje się i pojedzie do ojca. Zostanę znów sam, taki sam, jaki byłem przez całe prawie życie.

Siedzieli w milczeniu. Podnieśli się dopiero, gdy przyszedł Aleksander Skultet. Objąwszy Kopernika, ucałował jego policzki.

Aleksander był chudy, wysoki, o młodej, szlachetnej twarzy i mądrym spojrzeniu.

— Ja swojej nie oddalę — mówił Skultet. — Nie dziwię się tobie, żeś swoją odesłał, nie masz już pewnie sił do walki. Ale

ja będę walczył do ostatka. Nie dam rady w Lidzbarku, to zwyciężę przez Rzym.

Ożywiony, nagle pohamował się i przerwał potok słów:

— Jak tam Anna?

Mikołaj podniósł nań oczy.

Wynajęła domek w mieście. Gdy odwiedzam ją, to stara się czynić wrażenie, że nic się nie zmieniło, ostatecznie i tu mieszkała w izbie z oddzielnym wejściem. Ale po oczach widzę, że płacze całymi dniami. Wzdycha, że swego czasu do klasztoru nie wstąpiła, co w zamiarach swych miała. Ale właściwie to przez cały czas o gwiazdach rozmawiamy, jak gdyby nigdy nic. Mówi, że nie ruszy się z Fromborka, póki dzieła swego o obrotach drukarzom nie poślę. Przepisuje teraz część za częścią, żeby na wszelki wypadek dwa egzemplarze były.

— Rację ma — westchnął Aleksander. — Z dziełem mogą uczynić to samo co z białogłową.

I pewnie zapadłoby znów milczenie między nimi, gdyby nie nagły krzyk przed domem, po czym wtargnęła do komnaty zapłakana Suchtenówna. Była piękna, młoda, kształtna, ale twarz jej szpecił w tej chwili grymas płaczu. Zawołała:

— Aleksandrze, ratuj! Ten stary nieznośnik nagabywał mnie, gdym szła od studni i straszył klątwami i diabłami.

— Płotowski? — spytał Skultet, podnosząc się raptownie ze swego miejsca.

— Gdym go prosiła, by mi pokój dał, zaczął przezywać od najgorszej. O, Jezu!

Kopernik odsunął Suchtenównę i ruszył ku drzwiom. Otworzył je energicznym pchnięciem. Gdy wyszedł w przedwiosenną pluchę, widział w dżdżu smugę światła, rozjaśniającą mrok, dobywającą się przez niedomknięte drzwi. Drżał cały, a pięści same mu się zaciskały. Usilnie natężając wzrok, wyłowił z ciemności skuloną postać Płotowskiego, skradającą się ku murowi.

— Złoczyńco! — krzyknął tylko jedno słowo i zmilknął.



Postać znikła.

Mikołaj poczuł strużki deszczu spływające mu po czole i zimno na całym ciele. Zatrzymał się, stał jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się. Tamci — Rafał, Aleksander, Suchtenówna — stali w drzwiach jego domu. Nabrał tchu, jakby dobywał się z powietrza i ruszył z powrotem w ich stronę.

---

## „Narratio prima”

Dopadli go i tu, gdy boleść swą leczył pasją tworzenia, tu gdzie w blaskach rozpoczynającej się jesieni spędzał na pracy czas z najlepszymi przyjaciółmi: z dawnym, wypróbowanym Gizjuszem i nowym, ale wiernym Retykiem. Dopadli go tu, w Lubawie i trzeba było przeprowadzić rozmowę z tym obrzydliwym Achacym Trenkiem.

Znaleźli się w małej salce posiedzeń lubawskiego pałacu skrzęcej się złotymi ozdobami. Mikołaj siedział sam na sam z Trenkiem — naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu, by w ten sposób okazać dystans i pogardę. Konfrater wił się wśród argumentów i szczegółów, wypowiadając swą kwestię. Wysłuchawszy z ust posła Dantyszka zarzutów na temat potajemnych schadzek z Anną i żądania, by ich zaprzestał, Kopernik odparł nie ukrywając gniewu:

— Azaliż nie wystarczą listy wymieniane między panem naszym a panem lubawskim?

Trenk skłonił głowę z wyrazem aprobaty.

— Być może wystarczyłyby. Dowiedziałem się od jego przewielebności biskupa chełmińskiego, że właśnie wczoraj wysłał list do pana naszego. Ale jeżeli nawet ta odpowiedź jest już w Lidzbarku, nie dziwiłbym się, gdyby przewielebność Dantyszek chciał z ust waszej mości usłyszeć jej osobiste zapewnienie o zerwaniu stosunków z ową kucharką.

Mikołaj zagryzł wargi. Nie mógł protestować przeciw temu określeniu, sam bowiem podtrzymywał pozory, że Anna właśnie funkcje gospodarcze pełniła w jego domu.

— Czy to znaczy, że mam stawić się w tej sprawie w Lidzbar-ku?

— Ależ nie, pan nasz nie chce sprawiać waszej mości tego trudu. Upoważnił mnie do przyjęcia takiego zapewnienia.

Kopernik zabębnił palcami po stole. Patrzył w okno, jak gdyby wcale nie dostrzegał Trenka. To żądanie było więcej niż obrzydliwe.

— Więc nasz pan sądzi, że ja, bawiąc w Lubawie, w siedzibie biskupa chełmińskiego, spotykam się z osobą mieszkającą we Fromborku?

Rozumiał absurdalność tego pytania i obserwował Trenka. Ten próbował rumieniec zażenowania i wstydu pokryć bezradnym uśmiechem. Powiedział:

— Chodzi o czas przyszły, o czas, gdy wasza wielmożność wróci do Fromborka. Chodzi innymi słowy o to, by owa osoba z Fromborka wyjechała.

— Wyjechała? — spytał Mikołaj. — Już się to stało.

— Lecz ma tam jeszcze swój dom.

— Ma prawo do tego.

— Ale waszmość spotkał się z nią jeszcze po jej wyjeździe.

Mikołaj zamknął oczy. Wieść o tym spotkaniu rozniosła się, jak gdyby chodziło o sprawę wagi państwowej. Wytłumaczył się już raz na zawsze, że było to spotkanie przypadkowe. Spotkali się, gdy Anna jechała z Gdańska na targi do Królewca. Dała mu znać z zajazdu, że jest we Fromborku. Spleceni uściskiem przyrzekli sobie wtedy dożgonną wierność podczas rozłąki, która znów się zaczęła. Przywykli przez całe życie do fizycznej nieobecności, do duchowego obcowania. Teraz już tak niewiele tego pozostało — jak niewiele życia było przed Mikołajem.

— Czyżby tego spotkania nie było? — powtórzył niecierpliwie.

— Ależ było, było — powiedział Kopernik. — Ale już więcej nic podobnego się nie zdarzy, jeżeli Bóg da.

— Co to znaczy: jeżeli Bóg da?

— Proszę zapewnić naszego pana i ojca, że nie będę zabiegał o spotkanie z tą osobą. I proszę mi po tym zapewnieniu dać już spokój, proszę po prostu uważać swą misję za spełnioną i co prędzej wyjechać z Lubawy, by wiadomość o mojej deklaracji jak najprędzej dotarła do Lidzbarka.

Trenk spojrział nań i widać było, jak zacisnął zęby. Wstał, odepchnął od siebie krzesło, że omal się nie przewróciło, i energicznym krokiem opuścił salę.

Mikołaj nie poszedł za nim. Wiedział, że Gizjusz z Retykiem siedzą w bibliotece, i że tam podąży sponiewierany gość, że zatem trzeba odczekać tu chwilę, aż go biskup chełmiński zaprowadzi na dalszą rozmowę do sali przyjęć. Może nareszcie skończą się te bezwstydne napaści i będzie można w spokoju kontynuować prace, które rozwinęły się z chwilą przyjazdu Retyka.

Ten młody, a wspaniały i mądry profesor z Wittembergi przybył do Fromborka w drugiej połowie maja. Mikołaj znów przymknął oczy, by przypomnieć sobie te chwile.

Zmęczony, zakurzony długą podróżą stanął przed nim Jerzy Joachim z kraju Retów i złożony unizony powitanie zapytał: — Mamże zaszczyt rozmawiać z mężem, którego imię słynie w całym świecie?

Młody uczonec był mężczyzną niewysokim, szczupłym, wyglądającym chorowicie.

Mówił po południu przy stole: — Przez cztery tygodnie zdążyłem do tego odludzia, które dzięki panu nauczycielowi jest stolicą astronomii. Gdy wśród mężów uczonych przekonałem się, jaka sława otacza cię, dostojny mężu, ogarnęło mnie nieposkromione pragnienie usłyszenia z twych własnych ust wiadomości o prawdziwej budowie świata. Przybyłem w nadziei, że zaspokoisz to pragnienie i pozwolisz mi poznać twe nauki, które bym chciał rozślać w sformułowaniach bardziej dokładnych od tych, co krążą po świecie.

Długo trwały namowy, by dzieło „De revolutionibus” doprowadzić do końca. Wittemberczyk tymczasem ślezczał nad udostępnionym mu rękopisem, a Mikołaj studiował przywiezione przez Retyka księgi: grecki tekst „Elementów” Euklidesa, wydaną w 1533 roku „Trygonometrię” Regiomontana, astronomię sferyczną Apiana „Instrumentum Primi Mobilis”, „Astronomię” Dżabira ibn Affla i „Optykę” Viteliona. Przeczytane księgi skłoniły Mikołaja do wniesienia licznych poprawek w tekście „Obrotów”.

Aż wreszcie — gdy na zaproszenie Tidemana przyjechał w czerwcu z nowym, tak młodym przyjacielem i zarazem utalentowanym uczniem do Lubawy — zapadła decyzja wydania księgi. Mikołaj przyrzekł Gizjuszowi, że odda „De revolutionibus” do druku natychmiast po zakończeniu przeróbek, co musiało jednak potrwać jeszcze czas jakiś. Retyk z entuzjazmem podjął się pracy nad wydaniem księgi. Tam w Norymberdze miał ją u kogo wydać.

Ileż rozmów, ileż dyskusji, prowadzonych w ciągu lata podczas spacerów po obszernym parku lubawskim. Wieczorami obserwowali we trzech niebo, Tideman bowiem zaraził się od Mikołaja zapałem do astronomii i sprawił sobie wspaniałe instrumenty, wśród których najbardziej zachwycali gości dwa: spiżowa sfera armillarna i sprowadzony z Anglii gnomon. Korzystając z tego wyposażenia sprawdzali niektóre obliczenia.

Były i długie godziny samotnej pracy, gdy Kopernik dokonywał przeróbek w zabranym z sobą z Fromborka rękopisie, a Retyk po przestudiowaniu pierwszej wersji „Obrotów” pisał „Pierwsze opowiadanie o Księgach Obrotów Mikołaja Kopernika”, zaś Gizjusz po prostu zajmował się swymi zwykłymi dziecziejnymi sprawami, których miał moc.

A oto szedł właśnie z Achacym Trenkiem przez ogród w kierunku drugiego skrzydła pałacu. Zobaczywszy ich przez okno Mikołaj zbudził się z zamyślenia, potarł czoło, potem uniósł się

ciężko z krzesła i podszedł do okna. Gizjusz szedł młodzieńczym, pełnym werwy krokiem, żywo gestykulując. Trenk stąpał obok niego truchcikiem, pełen szacunku dla biskupich fioletów. Zapewne posili się teraz w swym pokoju i po cichu, żeby nikt nie widział, chyłkiem wyjedzie w powrotną drogę do swego mocodawcy, by mu opisać, jakimi strasznymi ludźmi są ci dwaj przyjaciele w Lubawie.

Teraz Mikołaj mógł pójść do biblioteki, gdzie Joachim siedział już zapewne sam. Odłożyli na dzisiejsze popołudnie czytanie Retykowskiego „Narratio prima”, co mieli pierwotnie w planie na wczorajszy wieczór, a w czym im przeszkodził przyjazd Trenka. Gizjuszowi nie wolno było zlekceważyć obecności posła od potężnego władcy sąsiedniej diecezji, będącej przecież udzielnym księstwem.

Retyk pisał „Narratio prima” przez całe lato, zależało mu na tym, by przyjaciele ocenili dopiero całość — tak, by przed oddaniem do druku można było jeszcze wnieść poprawki. Ponieważ zaś Mikołajowi śpieszno już było do Fromborka, poprawki miały być tam dokonane, po czym Retyk miał z rękopisem pojechać do Gdańska i oddać do drukarni Franciszka Rhodego.

Siedział oto rzeczywiście sam w bibliotece biskupiej, wpatrzony w rozłożoną na pulpicie księgę i na odgłos kroków Mikołaja ruszył mu naprzeciw. Witął go spojrzeniem pełnym przyjaźni. Pytał z troską — wiedział bowiem wszystko o poczynaniach Dantyszka i jego fromborskich zauszników — pytał więc:

— No i jak tam, mój panie nauczycielu?

— Prosiłem cię, Joachimie, byś zwracał się do mnie jak humanista do humanisty.

— Kiedy nie śmiem.

— Jesteś mężem wielkiej wiedzy, choć młodym. Jesteśmy sobie braćmi w nauce. Czyż ma nas dzielić wiek? Co się zaś tyczy rozmowy z Trenkiem, to powiedziałem mu parę słów takich, że chyba przez parę dni będą go uszy bolały.

W tej chwili, zamaszycie powłócząc fioletową suknią, z rozwartymi ramionami wszedł do biblioteki Tideman i z radosnym uśmiechem na ustach wołał od progu:

— Nareszcie, kochani przyjaciele! Pozbyliśmy się tego człowieka, pojedzie sobie jeszcze dziś. I oto jesteśmy znów sami. Więc już o nim ani słowa, zgoda?

Rozsiedli się. W milczeniu przystali na propozycję milczenia o sprawie, która była za nimi. Joachim rozpoczął czytanie po krótkiej rozmowie, w której wyjaśnił, że „Narratio prima” napisana jest w formie listu do jego uczonego przyjaciela — Schonera. Do niego też zwracał pierwsze słowa, usprawiedliwiając się, iż dopiero po wielu miesiącach przysłała wiadomości o Koperniku i jego nauce.

„Przede wszystkim proszę cię, abyś zechciał mi uwierzyć, że ten wspaniały człowiek, który mi obecnie tyle dobrego wyświadcza, w żadnej z dyscyplin wiedzy, a szczególnie w astronomii, nie ustępuje Regiomontanowi. Wolę go nawet przyrównać do Ptolemeusza, nie dlatego żebym Regiomontana niżej cenił od tego ostatniego, ale ponieważ mój nauczyciel, podobnie jak Ptolemeusz, miał szczęście z pomocą bożą podjętą naprawę astronomii do końca doprowadzić, podczas gdy Regiomontanus z woli surowego losu został wyrwany z grona żywych, zanim zdążył ukończyć swoją budowę.(...)”

Dzieło mojego szanownego nauczyciela obejmuje całkowitą astronomię. Pierwsza księga daje opis wszechświata w ogólnych zarysach i zawiera zasady, z pomocą których nauczyciel mój przystępuje do tłumaczenia obserwacji dokonanych we wszystkich epokach oraz zjawisk na niebie. (...)

Najpierw chciałbym od razu z góry nadmienić, że mój pan nauczyciel od wielu lat prowadzi nader staranne obserwacje: w Bolonii, gdzie był osobiście nie tyle jako uczeń, ile jako pomocnik i świadek przy obserwacjach uczonego Dominika Marii, potem w Rzymie, gdzie sam około roku pańskiego 1500, mniej

więcej w wieku dwudziestu siedmiu lat, jako profesor matematyki przy wielkim natłoku studentów i przed licznym zgromadzeniem dostojnych mężów i mistrzów w tymże zawodzie wygłaszał wykłady — a wreszcie tu, we Fromborku, gdzie wykorzystuje każdą wolną chwilę, aby studia swoje pilnie kontynuować”.

Kończąc pierwszą część swego opowiadania, wołał Retyk z zachwytem:

„Jest w tym zaiste coś boskiego, iż dokładne zrozumienie zjawisk niebieskich zależy tylko od prawidłowych i jednostajnych ruchów kuli ziemskiej”.

Pamiętał jednak Retyk o całej sforcie ludzi, którzy czyhają tylko na to, by przyłapać kogoś innego na nowych, niezgodnych z ogólnie przyjętymi sądami poglądach. Toteż podkreślał stale pochodzenie teorii Kopernika od systemu Ptolemeusza, uznawanego przez cały świat uczony. A przeciw ewentualnemu zarzutowi pogoni za oryginalnością za wszelką cenę tak bronił mistrza i siebie samego, zwracając się do Schonera:

„Twoje ojcowskie przywiązanie do mnie dodało mi odwagi, abym udał się pod te dalekie nieba, pod którymi obecnie przebywam. Błagam Boga Wszechmogącego, aby w mądrości swej wszystko ku dobremu pokierować i mnie na właściwej drodze zachować raczył, abym mógł pracę moją do zamierzonego celu doprowadzić. (...)

Co zaś dotyczy mego pana nauczyciela, upraszam cię trwać w przekonaniu, iż on niczego tak bardzo sobie nie życzy, jak iść śladami Ptolemeusza, podobnie jak Ptolemeusz szedł śladem starszych od niego oraz tych, którzy na długo przed nim żyli. Kiedy wszakże zjawiska na niebie, które przecież nad astronomem panują, oraz rozważania matematyczne zmusiły go, nawet wbrew jego własnej woli, inne hipotezy wysunąć, to na razie uważał za wystarczające wymierzyć swoje pociski tym samym sposobem co Ptolemeusz i do tego samego celu, chociaż łukiem



i strzałami z całkiem innej materii niż te, których tamten używał”.

„Mój pan nauczyciel — czytał dalej Retyk — porównał starrannie wszystkie obserwacje minionych epok z własnymi i spiisał je w określonym porządku, aby mieć je zawsze pod ręką do wykorzystania”.

Lecz wreszcie musiał autor „Pierwszego opowiadania” przyznać, że system kopernikański jest jednak zupełnie inny od poprzednich.

„Jedynie przy postawieniu hipotezy, że Ziemia się porusza, staje się możliwe, iż wszystkie tory ciał niebieskich biegną ze stałą równomiernością dookoła własnych, a nie obcych punktów centralnych. Matematyków na równi z lekarzami obowiązuje zasada, którą Galen często wdraża, że natura nigdy nie działa bezplanowo i że tylko ten może uchodzić za rzeczywistego mistrza, kto przy swej twórczości dąży nie do jednego celu, ale do dwóch, trzech, lub nawet więcej. Kiedy więc widzimy, że jednym jedynym ruchem Ziemi zdołamy wyjaśnić nieskończoną ilość zjawisk, to czyż nie mielibyśmy Bogu, Stworzycielowi świata, przypisać kunsztu posiadanego przez zwykłych zegarmistrzów, którzy starają się usilnie, aby do werku zegarka nie dodano ani jednego kółeczka, które byłoby zbędne, lub na którego miejsce przy nieznaczonej tylko zmianie położenia mogłoby być wstawione inne”.

Główną część swej pracy zakończył Retyk tak:

„Niech zwycięża prawda! Niech zwycięża dzielność! Niech nauka zawsze pozostanie w poważaniu! Niech każdy mistrz w swojej sztuce wydobywa na światło dzienne to, co jest pożyteczne, i niech je osłania z umiarem tak, aby można było zawsze poznać, że szuka on jedynie prawdy. Mój nauczyciel nigdy nie będzie obawiał się sądu godnych szacunku i uczonych mędzów, a raczej sądowi takiemu dobrowolnie się podda!” \*

Joachim czytał z pasją i głębokim przejęciem. Raz po raz na-

bierał tchu, by z należyłą siłą głosu oddać istotę treści swego opowiadania — szczególnie wtedy, gdy miał wypowiadać wyrazy swej czci do Kopernika. Ten poruszał się wtedy niespokojnie, podnosił rękę jakby protestując. Gizjusz natomiast przez cały czas słuchał słów Retyka w skupieniu, uśmiechając się czasami z zadowoleniem.

Zapadał już zmrok, gdy padły ostatnie słowa opowieści. Tideman klasnął w dłonie, lecz Mikołaj poprosił go:

— Nie każ zapalać świecę, przyjacielu.

Gdy wszedł sługa, biskup rzekł więc tylko:

— Każ przygotować do wieczerzy.

Uwag było sporo — i pochwalnych i krytycznych. Joachim wszystkim chętnie nastawiał ucha. Gizjusz chwalił zwłaszcza piękny styl Wittemberczyka. Kopernik wybraniał się przed nadmiarem pochwał, których tyle pomieszczono w dziele. Miał jednak i uwagi rzeczowe, które musiał autor uwzględnić jeszcze przed oddaniem pracy do druku.

Wreszcie Tideman powstał z krzesła i patrząc prosto w twarz przyjaciela, powiedział:

— Chwała wam, najdrożsi. Bałeś się zawsze, Mikołaju, że ludzie nie dorosli do zrozumienia twego dzieła. A oto Joachim pójdzie ze swym opowiadaniem przed tobą, jak Jan przed Chrystusem. Jego „Narratio prima” przygotowuje świat do przyjęcia twej nauki. Spiesz się więc, by i „De revolutionibus” zostało oddane do drukarni. Niech ludzkość cała wzbogaci się o stworzoną przez ciebie teorię.

Kopernik chciał coś powiedzieć, ale czuł, że mu wzruszenie ścisła gardło.

---

## Błażnimędrzec

Przymilna była ta Krystyna, córka Kasi Getnerowej, a od paru lat żona Kaspra Stołpowicza. Nadmiarem tej przymilności zawsze sprawiała kłopoty: i wtedy, gdy mając lat czternaście, za chłopakami się oglądała, i gdy potem do klasztoru w Chełmnie wstąpiła i tam łaskowości ksieni, a swej ciotki Barbary nadużywała, i gdy klasztor dla księżęcego trębacza porzuciła, i gdy potem trzeba było zabiegać o jej roczną pensję przez klasztor wstrzymaną, bez której nie umiała żyć, bo zarobki trębacza za małe były.

Siedzieli oto w wielkanocne święto w skromnej kwaterze księżęcego dworaka w Królewcu. Kasper dolewał wina do kielichów, Krysia podstawiała mięsiwo, a Mikołaj odpędzał od siebie myśli, nachodzące go uparcie, wywoływane każdym niemal pytaniem. Tak oto siostrzenica dopytywała teraz:

— No opowiedzcie, wujeczku kochany, jak to jest w tych tam komnatach księcia Albrechta?

— Wcale to nie jest życie ciekawsze od życia prostych ludzi — odpowiedział wuj sentencjonalnie. — Prości ludzie żyją pełniej, czystiej i piękniej. To się wydaje tylko piękne na dworach pańskich, bo obleczone w pozory rozmaite, ale jeno pozory i nigdy nie wiesz, co się kryje za najwyszukańszym słowem czy najuprzejmiejszym gestem.

Nie mógł oczywiście wykupić się ogólnikami. Opowiadał więc, jak to książę Albrecht udzielił opieki witemberskiemu uczoneму a jego przyjacielowi i uczniowi, Jerzemu Joachimowi Retykowi. Dantyszek, który swego czasu sam przyjaźnił się z przy-

wódcami luterskimi, wydał przed rokiem nowy mandat przeciw luteranom i pobyt Retyka na Warmii stał się władcy niemiły. Mikołaj zataił jednak, iż sam naraził się na jeszcze większe nieprzyjemności za to, że luteraninowi udzielał gościny, dostatecznie już będąc obciążonym za przyjazne stosunki z oskarżonym o herezję Aleksandrem Skultetem, którego sprawa toczyła się właśnie w Rzymie.

Był oto właśnie czas, kiedy po trwających przez całą zimę zabiegach Retyka w Gdańsku został ukończony druk jego „Narratio prima” i autor, wróciwszy do Fromborka, rozsyłał egzemplarze swojej pracy przyjaciołom i protektorom. Oczywiście, Gizjuszowi posłał kilka egzemplarzy do Lubawy już w marcu, bezpośrednio z Gdańska, i biskup chełmiński w drugiej połowie kwietnia, porozumiewszy się z Joachimem, wysłał „Narratio prima” księciu Albrechtowi, który był w Prusach naturalnym opiekunem reformacji. Załączył do przesyłki list, w którym obok słów pochwały i dla Kopernika, i dla Retyka znalazła się prośba, by książkę raczył tego ostatniego wziąć pod swą opiekę. Albrecht uczynił zadość temu życzeniu.

Nauczyciel i uczeń rozglądali się tymczasem za wydawcą dzieła „De revolutionibus”. Zgodzili się wreszcie na norymberskiego predykanta Andrzeja Osiandra. Korespondencję w tej sprawie prowadził już potem osobiście Kopernik, a tymczasem Retyk jeździł po Prusach i zbierał materiały do geografii tego kraju korzystając z książęcej opieki, a w spokojniejszych chwilach pisał biografię swego „Pana Nauczyciela”.

Zadzierzgnięte w ten sposób stosunki z władcą Księstwa Pruskiego sprawiły zapewne, że ten zwrócił się równocześnie do Kopernika i do kapituły fromborskiej, by pozwoliła swemu konfratrowi przybyć do Królewca. Bardzo mu zależało na tym — jak pisał — by otrzymać pomoc w leczeniu starosty tapiawskiego, Jerzego von Kunheima, jego wiernego przyjaciela z lat młodości.

Był początek kwietnia 1541 roku, gdy Mikołaj za zgodą kapituły wybrał się do Królewca. Został przyjęty z wielkimi honorami, był podejmowany osobiście przez władcę, a leczenie starosty wspólnie z dwoma lekarzami królewieckimi nie zabierało wiele czasu. Ale też niewiele pomagało choremu, toteż — ponieważ zbliżała się Wielkanoc, którą kanonikowi wypadało spędzić w gronie konfratrów — książę napisał do Fromborka list z prośbą o przedłużenie pobytu lekarza w Królewcu. Tak oto doszło do tego, że Mikołaj spędzał Wielkanoc ze swą ulubioną siostrzenicą i jej mężem.

Opowiadając to wszystko, nie szczędził Krysi szczegółów dotyczących dworskiego ceremoniału i swych rozmów z najwyższymi osobistościami Księstwa Pruskiego. Nie zdradzał się jednak z radości, jaką sprawiał mu kontakt z szerokim światem. Przez długi okres, poprzedzający wyjazd do Królewca, nie ruszał się poza Warmię. Lubił Frombork, Lidzbark, Olsztyn i siedzibę Tidemana — Lubawę — ale był to mały światek w porównaniu z Krakowem czy choćby z Gdańskiem. Tego wielkiego świata bynajmniej nie pragnął, zwłaszcza w szczęśliwym okresie pożycia z Anną, ale kontakt z nim dawał mu szczególne zadowolenie, odmładzał i pozwalał łatwiej przeboleć poniesioną stratę.

Krysia słuchała opowiadania wuja z otwartymi ustami, Kasper z nieco mniejszym zainteresowaniem, lecz z należytym szacunkiem. Korzystał z zamyślenia rozgadanego wuja, by mu dolewać wina i wznosić kolejne toasty. Cel tych zabiegów był prosty. Bo oto Kasper, skorzystawszy z odpowiedniej chwili, wypalił słowa wdzięczności:

— Ogromnie czcigodnemu panu i wujowi dziękujemy za pomoc, jaką nam okazał. Za to, że Krysia otrzymuje znów swą roczną pensję, a dziesięć grzywien to pieniądz niemały. Za to, że moje pobory zostały podwyższone z dwudziestu na dwadzieścia pięć grzywien. Wiem dobrze, że to czcigodnego pana i wuja zasługa. To wielkie szczęście, że moja Krysia ma w rodzinie tak

możnego pana. A i w tym szczęście, że czcigodny pan i wuj bawi w naszej stolicy u naszego jaśnie pana księcia, którego ja jestem małym tylko sługą, bo coś znaczy zwykły trębacz.

— Żadna praca nie hańbi — wrócił znów sentencjonalnie Mikołaj, widząc, do czego prostą drogą zmierza bezczelny dworak. Tak jak lubił Krysię, tak nie przepadał za jej mężem; zrażał się do każdego, kto mu prawił uniżone słówka celem ubicia dobrego interesu. Jeżeli wystarałby się o lepszą pracę dla Kaspra, to nie dla jego, lecz dla Krysi dobra, a do tego żadne uniżone gadania trębacza nie były potrzebne.

Kasper nalewając kolejny kielich wina i mrugając na żonę, by dołożyła mięsiwa na półmisek, mówił przymilnie:

— Takiemu możnemu panu, jak czcigodny wuj, ksiązę niczego nie odmówi. Mógłby posadę lepszą mi dać.

— Ksiązę nie zajmuje się takimi drobnymi sprawami — ofuknął go Mikołaj.

— Można komu innemu szepnąć do ucha — ciągnął nie zrażony trębacz.

Mikołaj powiedział dla świętej zgody, by przerwać przykrą dlań rozmowę:

— Zobaczymy.

Trębacz uspokojony umilkł, Krysia zaś, postawiwszy nowe porcje mięsa, pytała o sprawy, które były przyczyną wielkiej sławy jej wuja.

Kopernik nie lubił ludziom nieuczonym objaśniać swojej teorii, była zbyt trudna dla nie znających matematyki, ale dla ulubionej siostrzenicy uczynił wyjątek i starał się wyłożyć w sposób przystępny dla jej umysłu. Najzrozumialej, jak tylko potrafił, opisał system heliocentryczny i opowiedział o toku swych prac nad osfatecznym przygotowaniem „De revolutionibus” do druku.

Zbliżyła się jednak pora prywatnej audiencji świętecznej u księcia Albrechta.

W małej salce przyjęć siedziało kilku najbliższych przyjaciół panującego, ale Kopernik z chwilą swego przyjścia znalazł się w centrum uwagi całego towarzystwa. Albrecht powitał go łaskawym słowem. Popołudniowe przyjęcie odbywało się przy ciastkach i słodkim winie.

Zupełnie jeszcze młodo wyglądał książę, który już jako świecki władca kilkanaście lat panował, a przecież i przedtem był wielkim mistrzem krzyżackim. Postać jego pochyliła się i przygarbiła wprawdzie, a drobne kościste ręce drżały, wysuwając się w stronę gościa, ale poruszał się żywo, mówił z zapałem, a jeżeli go coś nie interesowało — po prostu milczał. Poruszył wreszcie temat, o którego omówienie zabiegał Mikołaj nie tyle z chęci obrony własnej czci, co z powodu nalegań kapituły. Chodziło mianowicie o wystawianą swego czasu w elbląskim teatrze szkolnym, a przed kilku tygodniami wydaną drukiem w Gdańsku — u tego samego Franciszka Rhodego, który drukował „Narratio prima” — komedię Gnapheusa pod tytułem „Morosophus”.

Przed paru dniami Mikołaj wygłosił przed księciem kilka słów skargi, nawiązując do faktu, że tę ośmieszającą go sztukę dedykował autor właśnie Albrechtowi.

Gnapheus padał niejednokrotnie ofiarą nietolerancji religijnej. Inkwizycja wtrąciła go do więzienia w Delft. Gdy się stamtąd wydostał, inkwizycja wyciągnęła po niego rękę w Holandii. Wreszcie wylądował na paręnaście lat w Elblągu, skąd zamierzał ponoć — podobnie zresztą jak i Retyk — uciec przed Dantyszkiem do Królewca. Ale to w mniemaniu Kopernika nie upoważniało nierozsądnego magistra, jak go określał, do uwłaczania czci ludzi, mających jakie takie zasługi.

Albrecht, szczerze czy chytrze, nie bronił autora komedii. Powiedział:

— Nie widziałem żadnej złej intencji w dedykacji, napisanej na wstępie komedii, bądź co bądź uciesznej. Nie ma w niej przecież ani słowa o mości doktorze.

— Nie ma — potwierdził Mikołaj nie tając gniewu. — Lecz nikt nie wątpi w to, że „śmieszny astrologastrus” to niby ja. Nie mam nic przeciw rzeczowej krytyce moich teorii astronomicznych, lecz godne pożałowania są prześmieszki czynione przez człowieka nie znającego metamatyki.

— Słusznie! Prawda! — potwierdzali obecni. Ale Mikołaj dodał jeszcze:

— Chciałbym nadmienić, że komedia „Morosophus” jest prze-róbką już dawniej napisanej, w której ów niedouczony bakałarz ośmielał się wyśmiewać samego biskupa Warmii, świętej pa-mięci Maurycego Ferbera.

— O tym nie wiedziałem — zdziwił się książę.

— Wie o tym doskonale jego ekscelencja biskup chełmiński, którego zgniewały już wybryki Gnapheusa i który w obronie mej godności wystosował odpowiednie pisma.

Książę ożywił się nagle.

— Gotów jestem i ja wystąpić przeciw złu, jeżeli tylko jesz-cze raz przeczytam ową komedię z odpowiednią uwagą i dojdę do tych samym wniosków, co waszmość.

Trzeba było trafu, że wśród zaproszonych gości był kierujący teatrem książęcym. On to odezwał się:

— Proszę waszej książęcej wysokości, komedia owa może zna-leżeć się w rękach waszej książęcej wysokości w czasie, którego wymaga ugotowanie jajka.

Albrecht klasnął w dłonie i oświadczył z aprobatą:

— Myśl twoja przednia, mój drogi, warta świątecznego dnia. A musisz przyznać, że dawno mi już sztuczek żadnych nie czyta-łeś. Mieliliśmy przecie dawniej we zwyczaju w święta zabawiać się głośną lekturą.

Kierownik teatru skłonił się:

— Właśnie miałem ze swym reżyserem przedstawić waszej książęcej wysokości „Morosophusa”, by wasza książęca wyso-kość oceniła, czy godzien jest wystawienia w teatrze, tak jak to



zawsze czynić zwykliśmy. Przedstawimy więc rzecz dzisiaj, z góry oczywiście wiedząc, że ze względu na cześć tu oto przytomnego wielmożnego pana doktora Mikołaja Kopernika wystawiona być nie może. Lecz wasza książęca wysokość będzie świadom dlaczego, a zarazem przypomni sobie, co autor w owej dedykowanej waszej książęcej wysokości komedii napisał.

Mikołaj przemilczał ową uwłaczającą mu propozycję. Ale dworzanin przedstawił słuszne racje: jeżeli sztuka jest dlań obraźliwa, to trzeba księcia o tym przekonać, a najlepiej to uczynić w tej chwili, gdy i obrażony jest obecny.

Z kierownikiem teatru zjawił się o wiele od niego młodszy reżyser. Albrecht podniósł kielich, po czym zaprosił wszystkich do zajęcia miejsc. Reżyser objaśniał, że zgodnie z panującym na dworze obyczajem próbnego czytania sztuk recytatorzy będą brali na siebie w różnych scenach różne role, niekiedy nawet po dwie i trzy. Tak oto w pierwszej scenie pierwszego aktu on przedstawi Morosophusa czyli Błażnimędrca, a jego kolega — Geniusza. I oto przedstawienie zaczęło się.

W scenie czwartej, już po prześmiewkach z jakichś tablic astrologicznych i z pokrytego kurzem i pleśnią dzieła, które przez lata w skrzyni leżało, nastąpił dialog między Morosophusem a Tigelliussem. Przytyki pod adresem Kopernika stawały się coraz bardziej niewątpliwe.

Błażnimędrzec: Lecz spójrzmy na niebo i gwiazdy.

Tygeliusz: Jeśliś szewc, patrzaj kopyta!

Błażnimędrzec: O, biada, wielki popłoch i nowy strach podnosi się w gwiazdnej rzeczypospolitej...

Tygeliusz: Co takiego, Mędrцу?

Błażnimędrzec: Bo większość gwiazd, a wśród nich i te błędne, poruszone ze swych miejsc, zdaje się, jakby na zgromadzenie teologiczne...

Tygeliusz: Oczywiście!

Błażnimędrzec: ...razem się zbiegły. Wszędzie wielki nie-

pokój wśród gwiazd. O, tam widzę Plejady, Hyjady i Oriona.  
Tygeliusz: We śnie chyba!

Błażni mędrzec: O, a tam znowu straszne gwiazdy, Woźnica i Kozioł! Cała ta rada podąży do księżycowego pałacu.

Tygeliusz: Dziw, że nie trzeba tu Atlasa, który by wałące się niebo podtrzymał.

Błażni mędrzec: Zdaje się, że hodują one jakiegoś potwora na naszą zgubę.

Tygeliusz: Co to za potworny wieszcz. Nic, tylko potworności mu się zwidują.

Błażni mędrzec: Lękam się, że od księżycy zło śmiertelnym grozi, gdyż wielka jest jego moc nad falami.

Tygeliusz: Tak jak nad tobą wielka moc głupoty.

Błażni mędrzec: A teraz wzrok skierujmy, gdzie miejsce Kynozury, o ile się nie pogubiłem w tym całym niebie.

Tygeliusz: Na pewno tak.

Błażni mędrzec: Tajemnicę wielką posiadam.

Tygeliusz: Pewnie zamiast klejnotów znów kamyki znajdzie.

Błażni mędrzec: Bogowie, raczyliście spojrzeć na mnie swoją gwiazdą.\*

Podczas tej sceny twarz księcia powoli poważniała, a potem nawet pochmurniała. Spojrzał w pewnej chwili na Kopernika. Ten widział, że Albrecht rozumie, kto niby ma być owym Morosophusem czyli głupim mędrce. Władca skinął w stronę komediantów i zawołał:

— Dość! Proszę panów komediantów, by zabrali się stąd. To nie jest sztuka godna naszego dworu.

Potem podniósł się ze swego miejsca i zwrócił się wyraźnie do wszystkich obecnych:

— Czuję się w obowiązku przeprosić największego astronoma świata, imć doktora Mikołaja Kopernika za to, co tu zostało odczytane. Ów niegodziwiec Gnapheus miał na myśli naszego drogiego gościa, pisząc swój godny pożałowania utwór. Jeszcze go-

rzej, że mi go dedykował. Ale nie będzie więcej korzystał z mojej opieki i łaski.

Wszyscy nagle spowaźnieli, a ci, co przed chwilą najgłośniej się śmieli — spuścili głowy. Nie było już tego dnia więcej mowy o „Morosophusie” i jego autorze. Książę zapewne nie chciał drażnić szanowanego przez siebie gościa, inni bali się, Mikołaj zaś uważał, że nie może mieć żalu do gospodarza. Udawał, że bawi się od tej pory dobrze. Czuł się zresztą w pewnym stopniu usatysfakcjonowany. Miał licznych wrogów i politycznych, i naukowych. Zrozumiał już teraz na stare lata, że w miarę jak rośnie sława, rośnie także liczba wrogów. Rad był jednak, gdy udawało się ukrócić jakieś napaści.

Gdy wieczorem wracał do swej gościnnej komnaty, opodał drzwi czekała nań Krysia. Siostrzenica sama przypadła mu do rąk i obcałowywała je. Mikołaj rozumiał, że przyszła z jakimś podziękowaniem i uściśnęła życzliwie. Potem zapytał serdecznym tonem:

— A czegoż to, córuchno?

— Nie wiem, jak kochanemu i czcigodnemu wujeczkwowi dziękować — mówiła, uśmiechając się przez łzy radości. — Mój Kasper wcale nie spodziewał się takiego stanowiska, jakie mu kochany wujeczek uprosił u księcia.

— Co ty klepiesz, córuchno? — mówił zdumiony. Odsunął ją od siebie.

— Och, wujeczku, po co ta skromność. Dla Kaspra to tak, jakby z piekła wskoczył do nieba.

— Co za bzdury!

— Kochany wujeczku, przecież to wielka rzecz zostać kierownikiem książęcego teatru!

— Córuś, kto ci to powiedział?

— Ano Kasper. Tego się nie da zataić, nie. Kierownik teatru właśnie szedł od księcia, gniewny jakiś, gdy Kasper przechodził dziedzińcem zamkowym w sprawie służby. Wtedy pan kierow-

nik zatrzymał się i powiedział mu: „Dobrze postąpisz w służbie, Kasprze, bo dzięki wstawiennictwu szanownego wuja twojej magnifiki będziesz teraz ty, zamiast mnie, kierował teatrem”.

Kopernika pochwycił niepowstrzymany śmiech. Śmiał się tak donośnie, że aż najbliżsi strażnicy ukazali się, by zobaczyć, co się święci. Dopiero po dłuższej chwili uspokoił się, położył dłoń na barku Krysi i powiedział:

— Biedna córuś, on sobie z Kaspra niemiłosiernie zakpił.

---

## Płonie namiot niebieski

„Do Jego Świątobliwości Papieża Pawła III Mikołaja Kopernika przedmowa do ksiąg o obrotach.

Dostatecznie jasno, Ojczy Święty, zdaję sobie sprawę z tego, że znajdują się ludzie, którzy gdy tylko posłyszają, iż w tych moich księgach o obrotach sfer wszechświata przypisuję jakieś ruchy kuli ziemskiej, zaraz podniosą krzyk, że należy mnie wraz z takim przekonaniem potępić. Nie jestem bowiem do tego stopniã zakochany we własnym dziele, żebym nie zważał na to, co o nim będą sądzić inni. I jakkolwiek wiem, że myśli uczonego są niezależne od sądu ogółu — ponieważ dążeniem uczonego, o ile tylko ludzkiemu rozumowi pozwala na to Bóg, jest szukanie we wszystkim prawdy — mimo to jestem zdania, że poglądów zgoła różnych od uznanej prawości należy się wystrzegać. Toteż — rozmyślając nad tym, jak niedorzecznym opowiadaniem wydałoby się ludziom, gdybym wystąpił z twierdzeniem, że Ziemia się porusza, wręcz przeciwnym ich zapatrywaniu utwierdzonemu wyrokami wielu wieków, że Ziemia jest nieruchoma i leży w środku świata jako jej punkt centralny — długo się wahałem, czy wydać te księgi, które napisałem dla udowodnienia ruchu Ziemi, czy też może pójść raczej za przykładem pitagorejczyków i niektórych innych myślicieli, którzy mieli zwyczaj przekazywać tajemnice swej nauki nie pisemnie lecz ustnie, tylko swoim najbliższym i przyjaciółom, jak o tym świadczy list Lizysa do Hipparcha. A robili to, moim zdaniem, nie przez jakąś zazdrość, by nie udzielić swych nauk innym, jak to niektórzy przypuszczają, lecz dlatego, żeby tych najpiękniejszych

rzeczy będących owocem długich i mozolnych badań wielkich ludzi nie narażać na poniżenie i wzdargę ze strony takich, którzy albo żałują nakładu uczciwej pracy na wszelką naukę nie przynoszącą im zysków, albo jeżeli nawet za namową i przykładem innych nabiorą ochoty do szlachetnej nauki filozofii, tępy mają umysł i płaczą się między prawdziwymi uczonymi jak trutnie między pszczołami. Kiedy więc to właśnie dokładnie w sobie rozważałem, lęk przed szyderstwem, którego musiałem się obawiać z powodu trudnej do zrozumienia nowości teorii mojej, skłonił mnie niemal zupełnie do tego, żeby powziętych co do niniejszego dzieła zamiarów całkowicie zaniechać.

Ale po długim z mej strony zwlekaniu, a nawet oporze, odowiedli mnie od tego moi przyjaciele, wśród nich zaś przede wszystkim Mikołaj Schonberg, kardynał kapuański, szeroko znany ze swej wszechstronnej uczoneści, a obok niego mój serdeczny przyjaciel, biskup chełmiński Tideman Gizjusz, oddany z największym zapałem tak teologicznym, jak i wszystkim innym naukom szlachetnym. Ten mianowicie często mnie zachęcał i nieraz wśród gorzkich wyrzutów usilnie na mnie nalegał, abym to dzieło, które głęboko schowane przeleżało u mnie w ukryciu nie tylko dziewięć lat, ale już nawet czwarte dziesięciolecie, wydał i pozwolił mu w końcu wyjść na światło dzienne. Tego samego domagał się ode mnie również niejedyn inny wybitny uczyony, namawiając mnie, żebym już dłużej przez ten poczęty we mnie lęk nie wzbraniał się oddać swej pracy na wspólny użytek ludzi poświęcających się studiom matematycznym. Twierdzili przy tym, że im bardziej nedorzeczna wydaje się teraz przeważającej części uczonych ta moja nauka o ruchu Ziemi, tym więcej wzbudzi podziwu i uznania wtedy, gdy przez wydanie niniejszego dzieła zobaczą, jak mroki nedorzeczności zostaną rozproszone jasnością oczywistych dowodów. Ulegając więc namowom takich ludzi i taką wiedziony nadzieją, pozwoliłem wreszcie przyjaciółom sporządzić wydanie tego dzieła. (...)

Lecz Twoja Świątobliwość może nie tyle dziwić się będzie, że wyniki tej zmuśnej mojej pracy odważyłem się ogłosić, skoro już w opracowanie ich tak dużo włożyłem trudu, iż tych rozmyślań swoich o ruchu Ziemi nie wahałem się także utrwalić na piśmie, lecz raczej zechce się ode mnie dowiedzieć, skąd mi to przyszło do głowy, że wbrew przyjętemu zdaniu matematyków i niemal wbrew powszechnemu przekonaniu miałem odwagę wyobrazić sobie jakiś ruch Ziemi. Dlatego to pragnę, by Twoja Świątobliwość dobrze o tym wiedziała. (...)

Wśród długich zatem rozważań nad tą niepewnością tradycyjnych nauk matematycznych o obliczaniu ruchów sfer wszechświata ogarnęło mnie przykre uczucie, że filozofowie, mimo tak wnikliwych kiedy indziej badań nad najdrobniejszymi jego zjawiskami, nie osiągnęli żadnego zadowalającego sposobu na wyjaśnienie ruchów mechanizmu tego świata, który stworzony został dla nas przez najlepszego i ze wszystkich najdoskonalszego mistrza. Toteż zadałem sobie ten trud, żeby na nowo przeczytać wszystkie dostępne mi dzieła filozofów, celem zbadania, czy przypadkiem któryś z nich nie wyraził kiedyś co do ruchów sfer wszechświata zdania odmiennego od założeń przyjmowanych przez wykładowców nauk matematycznych. I rzeczywiście, natrafiłem najpierw u Cycerona na wzmiankę, że Niketas sądził, iż Ziemia się porusza. Następnie znalazłem kilka dalszych nazwisk ludzi tego samego zapatrywania również u Plutarcha, którego słowa postanowiłem tutaj przytoczyć, aby je wszystkim udostępnić: «Według powszechnego mniemania Ziemia stoi w miejscu. Ale Pitagorejczyk Filolaos sądzi, że ona krąży dokoła ognia po kole pochyłym, podobnie jak Słońce i Księżyc. A Heraklejdes z Pontu i Pitagorejczyk Ekfantos uznają wprawdzie, że Ziemia odbywa ruch, ale nie postępowy, lecz obrotowy, na sposób obręczy koła od zachodu ku wschodowi i wokół własnego środka».

Stąd zatem nabrawszy podniety zacząłem i ja rozmyślać

o ruchu Ziemi. A chociaż taka myśl robiła wrażenie niedorzeczności, jednak — ponieważ wiedziałem, że już innym przede mną przyznawano swobodę wymyślania dowolnych kół dla objaśniania zjawisk gwiazdnych — doszedłem do wniosku, że i ja bez przeszkód mam prawo próbować, czy przez przyjęcie jakiegoś ruchu Ziemi nie dałoby się wynaleźć pewniejszych niż tamte sposobów na objaśnienie obrotów sfer niebieskich. [...]

Być może, że znajdują się tacy, co lubiąc bredzić i mimo zupełnej nieznamości nauk matematycznych roszcząc sobie przecież prawo do wypowiedzania o nich sądu, na podstawie jakiegoś miejsca w Piśmie świętym, tłumaczonego źle i wykrętnie odpowiednio do ich zamierzeń, ośmielą się potępiać i prześladować tę moją teorię. O tych jednak zupełnie nie dbam, do tego stopnia, że sąd ich mam nawet w pogardzie jako lekkomyślny.

Nie jest przecież tajemnicą, że Laktancjusz, sławny zresztą pisarz, ale słaby matematyk, mówi o kształcie Ziemi zupełnie jak dziecko, sztygąc z tych, którzy podali, że Ziemia ma kształt kuli. Nie powinno więc dziwić ludzi nauki, jeżeli tacy jacyś i mnie będą wyśmiewać. Dzieła matematyczne pisane są dla matematyków, którzy — o ile się nie mylę — dostrzegają, że te moje trudy przyniosą pewną korzyść również Kościołowi powszechnemu, nad którym władzę sprawuje teraz Twoja Świątobliwość. Bo nie tak dawno, za Leona X, gdy na soborze laterańskim roztrząsano zagadnienie poprawy kalendarza kościelnego, pozostawiono je bez rozstrzygnięcia jedynie z tego powodu, że nie rozporządzano jeszcze dostatecznie dokładnymi pomiarami lat i miesięcy, ani też ruchów Słońca i Księżyca. Od tego czasu, zachęcony przez znakomitego męża, ks. Pawła, biskupa Fossonbrone, który wówczas sprawą tą kierował, zacząłem wyteżać umysł, by te rzeczy dokładniej zbadać. Czego zaś w tej materii zdołałem dokazać, to pozostawiam przede wszystkim ocenie Twojej Świątobliwości, jak i wszystkich innych uczonych matematyków. Ale żeby się nie wydawało, że więcej pożytku z tego



dzieła obiecuję Twojej Świątobliwości, jak i wszystkich innych uczonych matematyków, niż rzeczywiście dać mogę, przechodzę już do samego wykładu” \*.

Kopernik czytał te swoje własne słowa po raz trzeci już czy czwarty, za każdym razem wnosząc poprawki, by ten list dedykacyjny do opiekuna nauk, Ojca Świętego Pawła III, wypadł jak najładziej, został przezeń zyczliwie przyjęty i w ten sposób utorował dziełu „De revolutionibus” drogę w świecie chrześcijańskim.

Nie były to już te czasy, co przed czterdziestu czy pięćdziesięciu laty, gdy humanizm i wolna myśl naukowa rozkwitały i zwyciężały. Nie te, kiedy tezy Lutra dopiero zostały rzucone w świat, jak siew na dobry urodzaj. Gineła swoboda myślenia. Śmiałej myśli o heliocentrycznej budowie świata bali się zarówno zwolennicy władzy rzymskiej, jak i luteranie. Już przed rokiem zabierający się do wydania książki Osiander pisał, że trzeba jakoś ułagodzić teologów i potraktować całą teorię jako zbiór hipotez.

Przecież nie mógł tego Mikołaj uczynić. Jego przekonanie o heliocentryzmie i supremacji Słońca w kosmosie utrzymało się na dobre.

Zabierali potem głos różni mędrcy, poczynając od Lutra a kończąc na Schonerze, który obraził się o to, że Retyk, śpiesząc się, wydał „Trygonometrię” Kopernika, obejmującą część pierwszej księgi „Obrotów”. Schoner ogłosił tę książkę za plagiat wydanej przez niego „Trygonometrii” Regiomontana.

Odłożywszy rękopis dedykacji, przygotowanej już właściwie do wysyłki, Mikołaj wziął do ręki to dziełko, opatrzone tytułem „O bokach i kątach trójkątów, tak płaskich prostolinijnych jak i kulistych, książeczka bardzo pouczająca i użyteczna do zrozumienia zarówno wielu dowodów Ptolemeusza, jak również licznych innych, napisana przez znakomitego i uczonego męża Pana Mikołaja Kopernika Toruńczyka...” Retyk zaznaczył przecież

w liście wyraźnie, przewidując zapewne nieporozumienia, że treść tej książeczki jest niezależna od wydanej przed dziewięćmi laty „Trygonometrii” Regiomontana.

Lecz cóż nie wywoływało nieporozumień, walk, szykan. Anna — wypędzona przez Dantyszka — nie wracała już, stała się czymś jakby legendą. Aleksander Skultet walczył i z Dantyskiem, i z decyzjami królewskimi, został w końcu przed rokiem uwolniony przez Rzym od wszelkich zarzutów, a wreszcie i tak go zamknięto w więzieniu, Suchtenównę zaś wydalono z Warmii.

Pozostał mu dziś — poza dalekim Tidemanem — jeden właściwie przyjaciel: Jerzy Donner, z którym więcej chodzili na nadmorskie spacery, niż przesiadywali w narożnej wieży. Mikołaj teraz pracował mniej, czytał też niewiele, załatwiał trochę korespondencji, szkicowanie pisma dedykacyjnego było zupełnie wyjątkową pracą. Główne dzieło jego życia drukowało się już, dwa pierwsze arkusze wyszły w Norymberdze spod prasy drukarskiej. Szalona złość ogarnęła go, gdy mu przysłano próbne odbitki tych dwóch arkuszy, bo Osiander w obawie przed teologami pozmieniał tekst i podpisywał jakieś bzdury, a Retyk już niczego ratować nie mógł.

A teraz już wszystko jedno. Żaden Osiander, ani nikt inny nie zmieni jego wyliczeń i dowodów, a interpretacje mają znaczenie drugorzędne.

Tak więc wszystko wymykało mu się z rąk. Tak więc mnożyli się wrogowie oraz ludzie obojętni i przestraszeni, a szczupła garstka przyjaciół.

Odłożył rękopis listu dedykacyjnego na osobny stolik, by potem polecić Hieronimowi zapakowanie go. Odsunął na bok własne dziełko trygonometryczne. Sięgnął po jakąś leżącą księgę, na której okładce widniała trójlistna gałązka bluszczu.

Anna... A przecież bluszcz jest zieleciem nagrobnym...

Może uda się trochę poczytać? Coraz częściej zasypiał nad

książkami. Otworzył księgę, lecz litery skakały mu przed oczyma. Taka to tępota i opieszłość opanowuje człowieka, gdy kończy siódmy krzyżyk — myślał. — No tak, jest już koniec czerwca, za oknem szaleją ptaki, za osiem miesięcy wyprawi się hucznie siedemdziesiąte urodziny. Ale to już dla innych będzie zabawa, nie dla niego. Postanowił wyjść na chwilę z wieży.

Szedł przez dziedziniec statecznie, powoli, przyglądał się nowemu wybudowanemu przez Ferbera pałacowi biskupiemu, jak gdyby oglądał go po raz pierwszy, choć już od paru lat lubił cieszyć oko tą nowoczesną budowlą, tak niepodobną do innych, gotyckich murów.

Ze wzgórza katedralnego schodziło się lekko, łatwo. Potykał się tylko czasem o kocie łby. Stojący przed domami ludzie pozdrawiali uprzejmie. Znali go wszyscy, wszyscy go szanowali — chociaż tyle zdobył w swym życiu — chociaż ten ludzki szacunek, a w szacunek tych ludzi prostych mógł nie wątpić. Wszystkim tu pomagał. W każdym domu leczyl.

Nad morzem znalazł się nagle, zupełnie niespodziewanie dla samego siebie. Słońce wyszło zza chmury, więc odszedł kilkanaście kroków dalej — na piasek, do miejsca, gdzie leżała wywrócona do góry dnem stara łódź, i przysiadł na jej dziobie. Podniósł ku słońcu twarz. Było mu tak przyjemnie, rozkosznie niemal, jak w dzieciństwie nad Wisłą. Ale po jakimś czasie słońce zaczęło wprawdzie migać mu w oczach, a potem wirować w głowie tak mocno, że aż cały opadł na kadłub łodzi.

To chyba kończy się życie?

I cóż? Nie zdąży już sprawdzić, czy świat rzeczywiście ujrzy jego dzieło i czy ono stanie się własnością całej ludzkości. I nie zobaczy na własne oczy księgi, pisanej przez całe życie, potwornym wysiłkiem tysięcy dni i nocy. I nie zdąży powiedzieć już niczego swemu krewniakowi Janowi Lojczowi, którego usiłował uczynić swym koadiutorem.

Łaknął teraz łąpczywie życia — samej świadomości chodzenia

po świecie, na którym drukują jego dzieło, po którym gdzieś tam stąpa Anna.

Zerwał się, bo czuł, że go to słońce spali na popiół i próbował biec ku morzu, by zgasić w sobie ów pożar, a łomoczące tętno krwi zrównać z rytmem łomotania fal o brzeg, bo to wszystko jest z pewnością jednym wspólnym pulsem — pulsem Ziemi.

Nie mógł jednak biec, tylko powłóczył nogami po piasku, aż wreszcie upadł.

---

## Na orbitę

Jak długo umiera już on — który był kanonikiem, astronomem, jakimś tam Mikołajem Kopernikiem z Torunia? Oddzielająca go od rzeczywistości ściana zrzędła dziś po upływie nieskończenie długiego czasu. Zrzędła do tego stopnia, że czasem wyłaniają się zza niej zaafetowane postaci Wojciecha, Hieronima, Jagny, Donnera, ach, jeszcze Fabiana Emericha. I jeszcze Solfy. Dlaczego jest tu, a nie w Krakowie przy królu? Kto to mówił i do kogo, i kiedy, że wszyscy jadą do Krakowa na zaślubiny króla Zygmunta Augusta z Elżbietą Austriacką? A Solfa nie pojechał, może czuwa nad tym tłącym się za ścianą życiem?

Nie ma za to Tidemana, nie ma Tidemana, choć wie o umieraniu fromborskim. A przychodziły od niego takie serdeczne listy. Nie może być jednak Tidemana, jeżeli ma jako biskup chełmiński codzienne obowiązki do pełnienia. Nie może być Aleksandra Skulteta, jeżeli siedzi w więzieniu. Krysia Stołpowiczowa przyjedzie dopiero, gdy nadejdzie pora egzekwowania testamentu...

Nie może być ich tu — w tej wieży narożnej, w tej komnacie — tak jak w niej nie może być fromborskiej katedry, Ferberowskiego pałacu, dachów miasteczka, plaży, morza, domu rodzinnego w Toruniu.

I po cóż Donner pokazuje mu znów tę księgę, którą już mu kiedyś pokazywał? Stoją oto dookoła niego — dookoła śnieżnej pościeli, przypominającej zimową wyprawę do Kaszczorka — stoją jak odarte z liści drzewa nad całunem śniegowym i wpatrują się w jego twarz otwierając usta, jak gdyby coś mówili.

Oglądał już przecież tę głupią księgę, opisującą cząstkę wszechświata, zniekształconą na dobitek, w strachu przed teologami i zaślepionymi doktrynerami, przez ludzi słabych, bojaźliwych. Tytuł jedynie cieszy, częściowo widoczny, bo reszta liter miga w oczach i uskakuje za tę półmaterialną ścianę. „Nicolai Co”. I co dalej? Co pod tymi literami? „Pernici Torunensis”. I dalej już wzrok nie może sobie poradzić. Trzeba przyznać, księga jest wielka i gruba. Cóż, kiedy nie ma w niej nic, zupełnie nic. A jeżeli coś jest, opis owego zakątka kosmosu wokół Słońca, to zniekształcony przez Osiandra bojącego się głupców rządzących światem. Och, księga głupoty, bezwstydu i niewoli, w którą zakuto życie człowiecze.

Przecież Wszechświat nie jest wcale śmiesznym systemem słonecznym, kołującym pod kopułą nieruchomego namiotu gwiazdnego. W księgach „De revolutionibus” została opisana tylko śmiesznie mała cząstka nieskończonej machina mundi.

Po co pokazują mu znowu tę śmieszna, biedną księgę?

Może pokazują mu tę księgę po to, by go zabił gniew na podłość tych, co ją do druku sposobili? Bo podłość ich nie miała granic, nie miało granic ich tchórzostwo. Oto w bojaźni przed teologami podpisywali bzdury jakież, zniekształcili jego myśli, wmówili mu słowa nigdy nie wypowiedziane.

Może pokazują mu tę księgę sądząc, że w przeciwnym razie nie zdążyłby jej ujrzeć, bo ściana oddzielająca go od rzeczywistości zaskorupi się raz na zawsze i na zawsze już pozostaną oni po jednej, a on po drugiej stronie?

Chciałoby się powiedzieć coś, poruszyć się choćby, dać jakiś znak, przekazać gest, wyrazić coś mimiką — lecz nie da się, nie można niczego. Taka jest starość i niemoc.

Gdzież jest morze, szumiące, kojące morze, gdzież podział się widok na bezkres z jednej i na wzgórze z drugiej strony? Odchodzi wszystko, odchodzą Solfa i Donner, odchodzą Wojciech z Jagną, Hieronim. Dokąd?

Dokąd?

Oto staje się znów ta ściana coraz gęstsza, to za nią właśnie wszystko ginie, za nią wszyscy odchodzą. Albo czyż to on sam nie ginie?

Anna!

Gdzie jest Anna! Z nią byłoby jeszcze życie! Nie ginęłoby tak! Gdyby ona tu była, mógłby poruszać się na pewno, dotknąć jej dłoni, odezwać się...

— Anno!

— Ktoś mnie woła — szepnęła Anna. — To on.

Następnego dnia pojechała do Fromborka.

Przez długie jeszcze miesiące wołanie to dobiegało do jej uszu razem z uderzeniami fal morskich. Słyszała je nie tylko tego dnia, gdy Mikołaj umierał. Słyszała je, gdy odszedł już na zawsze w zaświaty. Słyszała w jęczeniu dzwonów pogrzebnych, gdy kanonicy chowali go w podziemiach fromborskiej katedry.

Nie poszła na pogrzeb, nie pokazywała się na wzgórzu Marii Panny, lecz echo dziejących się tam spraw dochodziło do jej domu, którego nie sprzedała, gdy ją wypędzono, do którego wróciła tu po śmierci ukochanego. Nie ruszała się stąd, nie dałaby się stąd wypędzić po raz drugi. Przeciekały do niej z kapituły wieści o gniewie Dantyszka, bo zawsze znalazł się ktoś uczynny wśród służby kanoników, kto posłyszawszy coś, przynosił jej tę lub inną wiadomość.

Dantyszek ostrzegał kapitułę przed nią, niegodną. Pisał, że trzeba obawiać się, aby nie o władnęła którymś z kanoników tymi samymi sposobami, jakimi obalamuciła tego, który nie tak dawno zszedł ze świata. Pozostawiał wprawdzie kapitule decyzję, uważał jednak, że należałoby nie dopuścić do zakazania wzgórza fromborskiego taką zarazą. Kapituła wyszła jednak z prawnego założenia, że jeżeli ustaje przyczyna, ustaje i skutek. Jeżeli więc Szylingówna została wypędzona z powodu Kopernika, to po jego śmierci decyzja w tej sprawie straciła moc.

Chodziła więc Anna po Fromborku, w niedzielę podczas mszy stawała w katedrze w miejscu, gdzie został pochowany Mikołaj. Uczęszczała drogami, którymi chadzali. Wspominała wspólne z ukochanym spaceru, a zarazem miotała się w gniewie na ludzkie hieny, węszące za pozostawionym przez niego spadkiem.

Jeszcze w tym samym dniu 24 maja 1543 roku — w dniu śmierci Kopernika — kapituła przyznała kanonikat i prebendy po nim Janowi Lojczowi, przyjmując go do swego grona na miejsce zmarłego. Tuż po pogrzebie przydzieliła Achacemu Trenkowi wieżę wewnątrz murów stanowiącą własność astronoma i ustaliła jej wartość na 30 grzywien. Już w czerwcu przybyła z Królewca do Fromborka Krystyna Stołpowiczowa, przywołując list polecający od księcia Albrechta, w którym ten prosił, by egzekutorzy testamentu Mikołaja Kopernika nie zapomnieli o należności siostrzenicy pana doktora Kopernika. W lipcu kanonik Jerzy Donner, w imieniu dziekana kapituły Leonarda Niderhofa, optował kurię poza murami warowni. Przez ten cały czas do księgozbioru biblioteki fromborskiej włączano woluminy znalezione w jego mieszkaniu, a kapitule testamentem przez niego przekazane.

Anna patrzyła, jak zachłanni ludzie rozdrapują rzeczy, które dla niej były relikwiami. Przyjmowała to wszystko ze spokojem — ufna, że dzieło jej ukochanego zyska jeszcze kiedyś takie uznanie, na jakie zasługiwało, a jakiego dotychczas nie doczekało się. Przez całe życie uczyła się czekania i hartowała serce nie spełniającymi się nadziejami. Już nic nie mogło jej zwalić z nóg.

Czuła ogromną wdzięczność dla biskupa chełmińskiego. Tide-man Gizjusz w dniu śmierci przyjaciela był na królewskim weselu w Krakowie. Natychmiast jednak po powrocie do Lubawy, gdzie zastał dwa nadesłane mu przez Retyka egzemplarze „De revolutionibus”, napisał do senatu Norymbergi list, domagający się ukarania drukarza za wiarołomne sfałszowanie przed-



mowy do książki. Senat jednak nie dopatrył się winnego wśród obywateli miasta.

Anna zdobyła jeden egzemplarz dzieła z ogromnym trudem. Ukrywała go skrzętnie na dnie skrzyni z odzieżą. Wyjmowała go zamknąwszy uprzednio drzwi na zasuwę. Ślęczała wtedy godzinami nad niemożliwymi do zrozumienia tablicami i obliczeniami, próbując pojąć myśli ukochanego. Nie pokonawszy przeszkód, uczyła się na pamięć tych części tekstu, które były dla niej jasne, a potem recytowała je jak modlitwy. Zdziwaczała, mało sypiała, mało co jadła, często patrzyła w darowane jej swego czasu przez Mikołaja zwierciadło italskie. Wyglądała staro i czuła się starą kobietą. Ze zwierciadła przenosiła wzrok na malowany przez Mikołaja jej portret, potem na autoportret z lat młodzieńczych — ten, na którym trzymał gałązkę konwalii. I znów powracała do lektury „De revolutionibus”.

Pewnego dnia zapomniała o zamknięciu drzwi. Było zimowe popołudnie, przez okno izdebki padały jeszcze silne snopy światła. Siedziała na stołku trzymając księgę w rękach i recytując z pamięci fragment mówiący o Księżycu. Musiała mieć oczy zamknięte i w zamyśleniu zapomnieć o całym świecie, bo gdy spostrzegła prepozyta Płotowskiego, ten trzymał już w rękach dzieło i wykrzykiwał jakieś zdania, których nie rozumiała.

Zerwała się ze stołka żądając zwrotu księgi. Gdy nie puszczał jej z rąk, rzuciła się na niego, gryzła jego ręce, drapała gdzie popadło. Jęczał z bólu, wyrывał się z jej straszliwych objęć, lecz zdobywszy nie wypuścił.

Zdołał ująć; zbrakło jej sił na to, by go ściągać. Widziała przez okno, jak biegł pod górę, otulając się połami sutanny.

Wyszła, stanęła w progu swego domu i tępo patrzyła w gęstniejącą ciemność zimowego wieczoru, rozjaśnianego tylko śnieżną bielą. W domach fromborskiego wzgórza rozbłysły światelka. A w niej wszystko gasło.

To był jej ostatni wieczór w tym miasteczku.

---

## Przypisy

s. 84

Sonet Petrarki „Amor, fortuna...” tłumaczył J. Kurek. Francesco Petrarca: *Sonety do Laury*, Warszawa 1955.

s. 186

Przekład listów J. Parandowskiego. Teofilakt Symokatta: *Listy*, Warszawa 1953.

s. 188

Przekład Ludwika Hieronima Morstina. Teofilakt Symokatta: *Listy*, Warszawa 1953.

s. 199

Przekład J. M. Harhali. *Najstarsza poezja polsko-łacińska*, opracował M. Plezia, Warszawa 1952.

s. 217

Przekład M. Brożka. Mikołaj Kopernik: *O obrotach sfer niebieskich*, Warszawa 1953.

s. 232

Mikołaj Kopernik: *Wybór pism*, opracował L. A. Birkenmajer, Kraków 1920.

s. 287

Przekład W. Syrokomli. *Najstarsza poezja polsko-łacińska*, opracował M. Plezia, Warszawa 1952.

s. 302

Według J. Wasiutyńskiego: *Kopernik — twórca nowego nieba*, Warszawa 1938.

s. 311

Przekład J. Kosińskiej. *Dramaty staropolskie*, opracował J. Lewański, Warszawa 1959.

s. 318

Przekład M. Brożka. Mikołaj Kopernik: *O obrotach sfer niebieskich*, Warszawa 1953.

---

## Postowie

Ogromna większość drugoplanowych bohaterów tej książki — to autentyczni ludzie, przekazani przez historię w dość skończonym kształcie. Na przykład po Łukaszu Waczenrodem pozostały liczne dokumenty, dobitnie świadczące o tym, jakim był człowiekiem, jakim władcą warmińskim, jakim poddanym króla i senatorem. Gizjusz, Retyk, Wodka, Wojciech z Brudzewa, Novara, Dantyszek i cała plejada innych tego formatu osobistości — to postaci dobrze historykom znane. Pisząc o nich trzymałem się ściśle tej wiedzy, jaką współcześnie posiadamy. Cóż dopiero mówić o samym Koperniku, którego życie i twórczość stały się tematem licznych nie tylko studiów, ale i sporów naukowych.

Czy mój obraz postaci, życia i pracy Kopernika zdoła wszystkich zadowolić, jeśli poglądy na różne szczegóły są wśród historyków zróżnicowane i zmieniają się z roku na rok. Do niedawna panowało na przykład powszechne przekonanie, że młody Mikołaj uczył się we Włocławku i pozostawał tam pod opieką Abstemiusa, któremu pomagał przy urządzaniu zegara słonecznego na ścianie tamtejszej katedry. Obecnie poddawane jest to w wątpliwość. Część historyków sądzi, że Mikołaj uczył się w Toruniu, część — że w Chełmnie. Pozostałem przy tradycyjnej wersji, nie mogłem bowiem w powieści snuć rozważań na temat, że może to było tak, a może inaczej. To prawo historyka. Musiałem osadzić bohatera w konkretnym miejscu.

Oczywiście, biografie i przyczynki sporządzane przez historyków mają charakter opisów naukowych, pod „mędrca szkiełkiem

i okiem” rodzą się swoiste analizy i syntezy. Autor powieści zaś musi dać obraz ruchomy, zaprezentować żywego człowieka w jego powszednim dniu, w konkretnym miejscu. Dlatego w poszczególnych przypadkach dla celów beletrystycznych musiałem nadbudować wiedzę historyczną. Tak dzieje się z Anną Szylingówną. Historyk dostrzega ją dopiero jesienią 1538 roku, gdy słynny astronom ma już sześćdziesiąt pięć lat. Niepodobna jednak, by Kopernik dopiero wtedy zainteresował się Anną, musiał już przedtem z nią się żyć, tyle że historycy nie odnaleźli żadnego dokumentu na ten temat. Korzystając więc z braku historycznych przekazów, kazałem Kopernikowi w swym utworze poznać Annę już w Krakowie.

Przy pisaniu powieści oparłem się o dość bogatą literaturę. Najwięcej skorzystałem z książki J. Wasiutyńskiego „Kopernik twórca nowego nieba”. Niejedną informację znalazłem w książkach L.A. Birkenmajera — nie tylko poświęconych Kopernikowi. Z dużym zainteresowaniem studiowałem na przykład pracę „Mikołaj Wodka z Kwidzyna zwany Abstemius”, której argumentów na temat Włocławka nie zbił dotychczas żaden zwolennik wersji o nauce Kopernika w Toruniu czy Chełmnie. Z nowszych autorów znacznie pomogli mi: Herman Kesten „Kopernik i jego czasy”, Józef Hurwic, pod którego redakcją wyszły szkice monograficzne „Mikołaj Kopernik”, Henryk Zins „W kręgu Mikołaja Kopernika”, Jerzy Sikorski „Mikołaj Kopernik na Warmii”, Janusz Pagaczewski „Obserwatoria Mikołaja Kopernika na Warmii”, Karol Górski „Dom i środowisko rodzinne Mikołaja Kopernika”, Bohdan Rymaszewski „Toruń w czasach Kopernika” i wielu innych.

W tekście użyto wspólnie obowiązujących nazw geograficznych. Wyjątek stanowią Pieniężno i Barczewo, pochodzące od nazwisk ludzi żyjących w XX wieku, pozostawiono więc stare nazwy Mełzak i Wartembork.